Nr. 6. 10. Kwietnia 1860.

KÓŁKO RODZINNE

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

(*Dokończenie.*)

VII.

Skarb.

Z razu jakieś radośne uczucie opanowało wszystkich. Wstali i zaczęli ściskać pana Krzysztofa. Tylko pan Jędrzej zimniej, jakby się należało, uścisnął go, a nawet kilka słów uśmierzających radość powszechną powiedział. Zwróciłem się do księdza Ignacego i rzekłem:

— Cóż wasze na to, księże Ignacy?

Ksiądz Ignacy zamyślił się, a po niejakim czasie w te ozwał się słowa:

— Zdaje mi się, że ten nieznajomy towarzysz ś. p. Szymona był człowiekiem niepospolitym. Wiedział, czego ludziom, a mianowicie nam do każdego dzieła potrzeba. Oto zgody i jedności. Zgodą i zespoleniem sił dokazują ludzie cudów. Wszystkie owe dzieła, które świat podziwia, powstały tym sposobem. Kto się zasklepia w kłębku egoizmu, lub z sąsiadem kłóci, ten niczego nie dokaże. Tak sobie tłumaczę myśl tego testamentu. Nie chodzi tu o samą mamonę.

Chciałem jeszcze to i owo proboszczowi powiedzieć, ale śród wrzawy powszechnej nie mogłem przyjść do słowa. I ksiądz Ignacy jakoś nie rad był dysputować, bo wziąwszy za czapkę już chciał się cichaczem wynieść, kiedy pan Krzysztof zawołał:

— Hej! a gdzież to wasze uciekasz księże Ignacy, wszak żniwo dobrze wypadło — anieli w niebie radować się będą z dnia dzisiejszego.

A gdy wszyscy poczciwego proboszcza opadli, aby w tak radosnej chwili nie odchodził, położył ksiądz Ignacy napowrót czapkę na kominku, i usiadł w krześle. Był jednak przez cały czas zamyślony i milczący. Aż do wieczora do nikogo słowa nie przemówił.

Panu Krzysztofowi coś pilno było z zapisem. Zaraz w kilka godzin po tem sporządzono formalny dokument, mocą którego w swoim i w swoich sukcesorów imieniu darował pan Krzysztof rodzinie pana Jędrzeja „Złotą górę“ pod tym jednak warunkiem, jeżeli wszyscy zgodnie przystąpią do wydobycia skarbu.

Tak radośne zdarzenie obchodzono do poźnej nocy z dobrą fantazyą. O skarbie zakopanym nie wiele mówiono, bo sama „Złota góra“ była skarbem nieocenionym. A jeżli ludziom jaką taką słuszność przyznamy i niekoniecznie wszystko czarno widzieć chcemy, toż samo nawrócenie się pana Krzysztofa i sojusz jego z całą pana Jędrzeja rodziną, musiały w sercach wszystkich nader przyjemne sprawiać uczucia.

Gdyśmy o północy z Boleszczyc do domu odjeżdżali, widzieliśmy taką radość i pogodę na twarzach wszystkich, jakby do szczęścia im już nic nie brakowało. Na odjezdnem musieliśmy nawet dać słowo, że w jutrzejszej podróży do „Złotej góry“ towarzyszyć im będziemy, na co bardzo chętnie przystałem, dowiedziawszy się od mojej Basi, że gdzieś tam niedaleko „Złotej góry“ mieszka jakaś jej krewna, i że górskie powietrze działa dobrze na jej rozdrażnione nerwy.

Długo jeszcze w noc rozmawiałem z żoną moją o panu Krzysztofie i o Złotej górze, i skarbie tamże ukrytym, a gdy nazajutrz przyszedłem jej rękę na dzień dobry ucałować, była już od stóp do głowy ubraną i tak mnie mile przywitała, że podziękowałem w duchu panu Krzysztofowi za tak szczęśliwy koncept jego.

Jakoż zaraz koło dziesiątej godziny wybraliśmy się do Boleszczyc, zkąd mieliśmy wspólnie do „Złotej góry“ odjechać.

Gdym wszedł do sali makatowej, zastałem tam już całą rodzinę zgromadzoną. Uderzyło mnie, że na tych twarzach, wczoraj tak wesołych i szczęśliwych, malowały się dzisiaj bezsenność i zamyślenie, każde stało opodal drugiego, wspólnej rozmowy nie było między nimi. Pan Kajetan stał przy oknie, a muskając ręką po brodzie, patrzał w dziedziniec, jakby koniecznie kogoś oczekiwał. A przecież panna Klara wyglądała dzisiaj prześlicznie. Miała na sobie szary szlafroczek do podróży, włosy splecione w dwa grube warkocze, aby tem wygodniej wziąć kapelusik podróżny, i miała ten sam ładny, do góry ciekawie zadarty nosek, który niegdyś panu Kajetanowi tyle sprawiał marzeń i snów przyjemnych! Dzisiaj jakoś nieczułym był pan Kajetan na te wdzięki biednej sieroty. Nawet jej lękliwe spojrzenia i jakiś dziwny niepokój, który jak najwyraźniej malował się na jej bladej twarzyczce, nie mogły pana Kajetana wyrwać z tego szczególnego zamyślenia, na które przecież tak rzadko w życiu zapadał.

Pan Sylwan zrazu przysiadł się do mojej żony i jako grzeczny kawaler, zaczął ją bawić zwykłemi swemi konceptami. Ale wnet wyczerpały mu się koncepta, zaczął bębnić palcami po stoliku, a korzystając z pierwszej lepszej sposobności, czmychnął do przyległego gabineciku i tam usiadł z tem chwalebnem przed-

sięwzięciem, aby choć raz w życiu nad czemś dobrze się zastanowić.

Że pan Makary nic do nikogo nie mówił i tylko z kąta w kąt ukośną przechadzał się linią, temu się wcale nie dziwiłem. Ludzie wielkiej nauki, którzy książki koncepują, zazwyczaj są małomowni i radzi oddalają się od towarzystwa. Mój sąsiad dzisiejszy, pan Euzebiusz Politnicki pisząc o rodowodzie swojej stadniny przez trzy lata w stajni z bydłem siedział, a z ludźmi i mówić nie chciał. A chociaż stryjeczny mój brat, pan Atanazy, człowiek złośliwego dowcipu, mówiąc o nim dorzucał zawsze po łacinie: *similis simili gaudet*, co znaczy po naszemu: z jakim się kto wdaje, takim się sam staje; przecież dla pana Euzebiusza mam dotąd wielką estymę *już* z tego powodu, że mu się chciało książkę napisać. Otóż na pana Makarego spojrzałem z uszanowaniem i radbym był wszystkim gęby pozatykać, aby myślom jego nie przeszkadzać, z których miały powstać tak piękne książki, jak to mi wczoraj był opowiedział.

Panna Anastazya miała twarz nadzwyczaj ożywioną. Była z wszystkich najweselszą. Ubranie miała wykwintniejsze jak zwykle, a trzymając w ręku jakąś siatkę z jedwabiu, zbyt często posyłała wzrok w dziedziniec, aż do bramki czerwonej, jakby ktoś miał tamtędy nadjechać. Pan Marcin siedział przy niej i bawił się misternym koszykiem, w którym był jedwab panny Anastazyi. Z jakąś fatalną miną wpatrywał się pan Marcin w ten koszyk misterny, który przedstawiał wieniec z cierni uwity. Oboje byli w dziwnem roztargnieniu. Nie dziw; narzeczony przy narzeczonej zawsze języka w gębie zapomina.

Ciocia nie miała dzisiaj fluksyi. Twarz jej była tak seryo nastrojona, jakby w jej myślach ważyły się losy świata.

Pan Jędrzej i pani Jędrzejowa mieli twarze szczerze uśmiechnięte. Chcieli różnemi konceptami powszechną wywołać wesołość, ale to im się nie udało. Potrzeba było wiele rzeczy do podróży przygotować i często od towarzystwa się oddalić, które zostawione sobie w coraz głębsze wpadało zamyślenie.

Pan Krzysztof także mocno się niecierpliwił. Co chwila zaglądał na zegarek i na niebo, czy jaka niepogoda podróży nie zagrozi. A przecież o niepogodzie ani myślić. Niebo było czyste i jasne, żadna chmurka nie plamiła go. Powietrze nieco chłodne lecz orzeźwiające zapowiadało długą i trwałą pogodę. Mimo to pan Krzysztof niepokoił się i do rychłego wyjazdu napominał.

Księdza Ignacego nie było dzisiaj. Dwa razy posyłano po staruszka, ale wymówił się, że ma reumatyzm w uszach.

Podjadłszy wreszcie na drogę bigosu i szynki, i wziąwszy z sobą zapas różnych przekąsek, wyjechaliśmy z Boleszczyc około godziny jedynastej przed południem, aby na wieczór stanąć w ›Złotej górze‹, gdzie nas pan Krzysztof hojnie uraczyć przyobiecał. Więc w nadziei tej znosiliśmy cierpliwie wszelkie niewygody, i cieszyliśmy się oczekiwaniem tego, co nastąpi.

Jechałem z panem Jędrzejem w starej kałamaszce, jakby naumyślnie do górskich dróg sporządzonej. Cięższe bowiem karety zostawiliśmy w domu prócz jednej, w której jechały kobiety. Pan Krzysztof nie dał się rozłączyć z swoim błękitnym, dosyć prostym wózkiem i jechał tylko sam jeden.

Przewracając w głowie to i owo, rzekłem do pana Jędrzeja:

— Niech mi wasze daruje, ale dziwna myśl przyszła mi do głowy. Dlaczego ta darowizna pana Krzysztofa nazywa się ›Złota góra‹? To coś niedobrego wróży.

— Jakto? zapytał zdziwiony pan Jędrzej.

— Miałem pachołka, odpowiedziałem, który zwał się Piorunowicz. Był ze mną w kilku potyczkach, kule i bagnety nic mu nie zrobiły — a zginął od piorunu. Także był poddany w moim majątku, co się zwał Stryczak. Jakoż na szubienicy zakończył swój żywot, poderznąwszy wprzód chartankę Ickowi, znanemu zkąd inąd szachrajowi.

— Cóżto ma do ›Złotej góry‹? zawołał mój towarzysz.

— Te słowa, odpowiedziałem, nienajlepsze mają u nas znaczenie. Jeśli ktoś więcej obiecuje, jak dać może, lub nie szczerze to czyni, mówimy wtedy: obiecywał mu Złote góry.

Na to uśmiechnął się pan Jędrzej i rzekł:

— Choć waszmość wiele zdeptałeś obcej ziemi, jednak nie znasz swojej własnej. To wyrażenie ›Złota góra‹ jest u nas, mianowicie na Rusi bardzo pospolite. Każda wieś, każda gromada i każdy dwór mają swoje ›Złote góry‹. Tak bowiem nazywają każdy lepszy łan, położony na południowym stoku pagórka, gdzie słońce dobrze operuje, a deszcze nie tak bardzo mu szkodzą. Są to zazwyczaj pola bardzo urodzajne, najczęściej pszeniczne, a że dojrzała pszenica ma kolor złota, to i pole takie nazywają ›złotą górą‹.

Zawstydziłem się, że kraju ojczystego nie znam, bo o wyrażeniu ›złota góra‹ wcale inne miałem pojęcie. Musiał to spostrzedz pan Jędrzej; uśmiechnąwszy się mówił dalej:

— Czytałem nawet ciekawą wieść o naszych ›złotych górach‹. Jakiś książkowy mędrzec dowodził, że u nas musiały być niegdyś kopalnie złota, albo że przynajmniej w naszych górach złoto leży, jeżeli tyle ›złotych gór‹ w kraju mamy. Lud nasz, dzięki Bogu, szlachetniejsze ma od nich wyobrażenia. On nie szuka złota tanim kosztem, zapuszczając się w głąb ziemi; u niego złoto to praca, jak u Anglika złotem jest czas. U ludu ta ziemia jest ›złotą‹, która wraca mu jego trud i pracę. Jestto bardzo piękny rys naszego charakteru, szkoda że na to tak mało zwracamy uwagi.

Wziąłem to za przycinek do mojej niewiadomości, ale nic na to nie odpowiedziałem, bo to była zasłużona dla mnie kara. Wiele rzeczy jest blizko

nas, któremi szczyciłyby się obce narody, a my ich nie widzimy. Już dlatego, że nasze, zdaje się nam wszystko powszedniem. Gonimy za obczyzną, zacząwszy od podczesywania czupryny aż do wyrażenia swych myśli i uczuć. Jak gdyby mowa nasza pośledniejszą była od innych, jakiemi Bóg obdarzył obce narody. Dla obczyzny kopiemy nogą to wszystko, co niegdyś było potęgą naszą. Nie dziw, żeśmy dziś słabi i nikczemni.

Tak i podobnie rozmyślając sobie, patrzałem przed siebie z wielką niecierpliwością, kiedy okaże się ta upragniona: »Złota góra«, o której tyle nasłuchałem się rzeczy.

Dzień był przecudnej pogody. Majowe słońce ogrzewało nas łagodnie. Świeży, zielony kolor traw i drzew orzeźwiał wzrok nasz, a woń kwiatu z przyległych sadów napełniała powietrze jakimś cudnym zapachem, jakiego w żadnych wódkach nie ma, chociażto żona moja wielką jest amatorką takich sztucznych pachnideł. A co za śliczne widoki roztaczały się przed nami!

Zaiste, nie trzeba koniecznie tak kochać tej ziemi, jak matka dziecię swe kocha i jak każdy z nas kochać ją powinien, a przecież trzeba przyznać, że nie łatwo o cudniejsze widoki w samej nawet Szwajcaryi nad te, jakie się znajdzie często w naszej podkarpackiej krainie.

Już przy samym zachodzie słońca, spuszczając się z wysokiej góry, ujrzeliśmy w dali grupę drzew i kilka białych kominów.

— To „Złota góra“, zawołał pan Jędrzej i zamilkł.

Widok tego miejsca, na którem miał się odbyć jakiś dziwny, nieodgadniony dramat, nasuwał nam różne myśli. W milczeniu patrzaliśmy na rozsuwający się przed nami obraz.

W samej rzeczy, „Złota góra“ była trafnie nazwaną według pojęcia ludu, jak mi to pan Jędrzej przed chwilą był wyświecił. Z trzech stron wznosiły się wysokie, czarnym lasem okryte góry. Ku zachodowi otwierała się kotlina, a na lekkiej pochyłości, wystawionej na operacyę słońca usadowił się dwór, a do niego przytuliła się pracująca czeladka. Prawie wszystkie pola osady były położone do słońca, a z trzech stron zasłaniały je od wiatrów mroźnych niebotyczne góry. To też praca osiadłej tu czeladzi przynosiła plon dostatni, a wdzięczni robotnicy nazwali tę ziemię „złotą“, chociaż ona nie dawała im wprost tego błyszczącego kruszcu, tylko wynagradzała ich trud i pracę.

Mały, drobny na pozór obrazek rósł za zbliżeniem się do niego w coraz ogromniejsze rozmiary. Wkrótce z pomiędzy drzew wychylił się dworek, potem inne zabudowania gospodarskie, a na skręcie koło małego stawku, obaczyliśmy i furtkę do ogrodu, w którym wznosił się ów tajemniczy wzgórek, opasany staremi, rosochatemi lipami.

Jakieś dziwne uczucie przeniknęło mnie na widok tego wzgórka. Zdawało mi się, że się zbliżamy do jakiejś świątyni starożytnej, w której lochach uwięziona jest owa przeszłość zamierzchła. Dla dzisiejszych ludzi kryje ona skarb, którego łakną, a który ma się tylko wtedy stać dla nich widomym, jeźli się choć raz w życiu wyrzekną słabości swoich i z zgodnem sercem przystąpią do odszukania go.

Wreszcie stanęliśmy przed dworkiem. Stary sługa i dwa psy wyszli na nasze przywitanie. Ani uprzejmość gospodarza, który sadził się na różne komplimenta, ani koncepta Sylwana, niecnoty, który moją żonę Dyaną tej leśnej krainy nazywał, nie mogły serca mego rozweselić. Ciągle stał mi przed oczyma antecesor pana Krzysztofa, a wchodząc do pierwszej izby, szukałem w kącie owego długiego stołu, na którym leżał nieboszczyk.

I zdawało mi się, że wchodząc w dom pana Krzysztofa, zastanę tam sprzęty proste, stół dębowy, tapczan i dzbanek wody. Nieprzyjaciel świata i ludzi przedstawiał mi się zawsze w postaci dawnych pustelników. Zdumiałem się więc nie mało, gdy w niskich i ciasnych izdebkach znalazłem taki przepych wykwintny, jakiego tylko w pałacach szukać! I dziwna mi się tutaj myśl natrąca. Dawni nieprzyjaciele świata uciekali w puszcze bezludne i żywotem pełnym prywacyi okazywali temu światu pogardę dla jego znikomości. Byłoto poczucie się do wyższego żywota, chociaż o tej wyższości wcale inne miano wyobrażenia. Dzisiejsi pogardziciele świata biorą wszystko od niego, a niby go nienawidzą. Są to egoiści, a nic więcej.

Tak też wydawał mi się dworek pana Krzysztofa. On, który zdawał się całym Bożym światem pogardzać, żył tutaj jak sybaryta. To też wkrótce nakryto stół i zastawiono go smacznemi przekąskami. Tymczasem krzątano się w kuchni koło wystawnej wieczerzy która miała nam wynagrodzić prywacye dnia dzisiejszego.

Z ciepłą strawą i kieliszkiem starego winka lepszy duch wstąpił w nas wszystkich. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, ale dziwnie się jakoś składało, że o zakopanym skarbie nikt ani słowa nie wyrzekł, chociaż wszyscy koleją zerkaliśmy od czasu do czasu przez okno na ów pagórek tajemniczy, który niedaleko nas czernił się w świetle księżyca. Stare, rosochate lipy rzucały daleko cień swój olbrzymi, a ich rozpostarte gałęzie wypisywały na ziemi jakieś dziwne hieroglify.

Pan Krzysztof był widocznie uradowany. Patrząc na zamyślone i posępne twarze gości swoich, uśmiechał się i zachęcał do kielicha, który krążył koleją. Wznosił także różne toasty dowcipne, ale o skarbie nic nie wyrzekł.

Wreszcie wstał, i zawołał z powagą:

— Po pustej zabawie przystąpmy do rzeczy poważniejszych! Mówmy o skarbie zakopanym.

Wszyscy jakoś trwożliwie spojrzeli po sobie. Widać było, że nie radzi przystępowali do przedmiotu, który przecież godzien był całej ich uwagi. Mamy wrodzoną obawę przed każdym krokiem stanowczym. A do tego zdążały słowa pana Krzysztofa.

*

— Najdroższym skarbem naszym jesteś ty sam, kochany Krzysztofie. Ja stary, spokojnie zamknę powieki, albowiem oczy moje oglądały ciebie w mojem kole rodzinnem. Zgodą i miłością stoi rodzina, biada narodowi, jeśli niezgoda i zawiść porozrywa węzły rodziny! A więc wnoszę zdrowie: „niech żyje miłość braterska!“

— Która zestrzelona w jedno ognisko, wolna od wszelkiej prywaty, może ziemię z odwiecznych ruszyć posad, dorzucił Makary.

Na to odpowiedział pan Krzysztof, biorąc kielich do ręki:

— A więc miłości braterskiej zdrowie, która dla dobra wszystkich poświęca się!

Wypito duszkiem. Nawet kobiety skosztowały węgrzyna. Pan Krzysztof kazał nową nalać kolej i zawołał:

— Czytam w sercach obecnych i raduję się, że tyle szlachetnych uczuć tam się mieści!... Czyż może być szlachetniejsze uczucie nad miłość dziewicy, której serce przylgnęło do męża tak zacnego, jakim jest pan Marcin? Cóż złączyło ich dusze, cóż ma im ręce związać? Otóż jedno z najpiękniejszych uczuć, któremi na życie Bóg nas wyposaża, abyśmy w szczęściu szczęśliwsi, w nieszczęściu mniej nieszczęśliwi byli!... Zdrowie narzeczonych piję!

Powstaliśmy wszyscy i pannie Anastazyi wraz z panem Marcinem okazaliśmy nasz afekt serdeczny. Podochocony już nieco, nalałem sobie, a spojrzawszy na pana Kajetana i pannę Klarę wzrokiem znaczącym, rzekłem:

— Ponieważ pan Marcin już się deklarował, a panna Anastazya za przyzwoleniem rodziców tę deklaracyę przyjęła, więc można rzeczy nazwać po imieniu i o nich rozmawiać. Ale nie czyńmy krzywdy tym, którzy afekt swój kryją jeszcze utajony, którym nie wolno mówić jeszcze do siebie: moja, mój. W nadziei jednak, że ten afekt jest szczery i zacny, że ci którzy dzisiaj tylko ukradkiem na siebie zerkają, wkrótce przyjaźń dozgonną sobie zaprzysięgną, niech mi wolno będzie wznieść ich zdrowie.

Na to powstał pan Kajetan, chociaż bynajmniej imienia jego nie wymieniłem, co powszechną sprawiło radość. A gdy i panna Klara cała w płomieniach stanęła i oczy na talerz spuściła, podnieśli się rodzice pana Kajetana, i wniesione zdrowie z uśmiechem zadowolenia wypili.

Pan Krzysztof na wszystko pilnie uważał i zdawało mi się, że się złośliwie uśmiechał. W końcu gdy już wszyscy mniej więcej ucichli, gdy moje i mojej żony, a nawet Sylwana i Amilkara zdrowie wypito, powstał pan Krzysztof i rzekł:

— Nie zapominajmy o głównym naszym celu, który tu nas razem sprowadził. Skarb przed nami i to skarb nie mały!

— Bóg mi świadkiem, zawołał pan Jędrzej, skarbu nie pragnę. Ale ma on w ziemi rdzewieć bezużytecznie, to lepiej wykopać go. W piśmie napisano, że źle jest talent w ziemię chować, jeśli on lichwę przynieść może. Niech tą lichwą będzie jaki dobry uczynek.

— O dobrych uczynkach później będzie mowa, rzekł pan Krzysztof, najpierw trzeba skarb mieć. Pierwsze do tego warunki są: miłość i zgoda.

Pan Jędrzej spojrzał tryumfującym okiem po swojej rodzinie. Zrozumiał go pan Krzysztof, uśmiechnął się i rzekł:

— Ponieważ wszyscy zgodni jesteśmy sercem i myślą, to skarb już w tej chwili do nas należy. Drugi dokument mego antecesora, sporządzony na kilka dni przed śmiercią, oznacza miejsce, gdzie ten skarb ma być zakopany!

— Jakto? nawet miejsce! zawołano chórem.

— Tak jest, odparł pan Krzysztof i powiódł okiem do koła.

— Gdzież to miejsce? zapytano.

— Pod trzecią lipą, z kraju, odpowiedział pan Krzysztof.

Niejaki czas trwało głuche milczenie. Mógłbyś słyszeć robaka wiercącego w ścianie, mógłbyś słyszeć dziesięć serc bijących w piersi. Cóż przyspieszyło ich bicie?

— A więc na dzisiaj: dobranoc, ozwał się pan Krzysztof. Jutro o dziesiątej pójdziemy do kościoła. Prosiłem księdza proboszcza o mszę świętą na naszą intencyę. A po mszy udamy się wszyscy razem na wzgórze... pod trzecią lipę.

Pan Jędrzej przerwał milczenie. Ucałował pana Krzysztofa i kazał się odprowadzić do swojej izdebki. Koleją rozeszliśmy się wszyscy, unosząc z sobą najróżnorodniejsze myśli i uczucia.

Dzięki przezorności naszego gospodarza, tak byliśmy wszyscy ulokowani, że każdy mógł tę noc przepędzić jak mu się podobało, nie odbierając snu drugim.

Przeznaczono mi na nocleg małą izdebkę w oficynie, której okno wychodziło na ogród. Nim jeszcze zdołałem po kątach się rozglądnąć, wszedł do mnie pan Krzysztof.

— I cóż myślisz wasze o jutrzejszej naszej wyprawie? zapytał mnie.

Ruszyłem ramionami, ale nic nie odpowiedziałem.

— Cóżbyś wasze nato powiedział, mówił dalej, gdybym zaproponował skarb ten cały dać biednej sierocie, pannie Klarze?

— To myśl piękna i szlachetna, odpowiedziałem. Sierota nie znachodzi na ziemi ani miłości, ani przywiązania; niechże to jej będzie, co w ziemi leży.

— Tak trzeba zrobić, dorzucił pan Krzysztof, a uścisnąwszy mnie za tę radę na dobranoc, uśmiechnął się jak człowiek który swego dopiął, i wyszedł odemnie.

Ledwo się drzwi za nim zamknęły, usłyszałem znowu czyjeś kroki. Ostrożnie i z cicha wszedł pan Kajetan.

— Przepraszam waszmość, zaczął z góry, ale coś mi do głowy przyszło, w czem chciałem zasięgnąć rady waszmości.

— Proszę, proszę, rzekłem.

Pan Kajetan zamyślił się trochę, z czem mu wcale nie było do twarzy, a położywszy palec na czole ozwał się cichym głosem:

— Pan Krzysztof mówi, że to ma być skarb bardzo wielki!

— A tak, odparłem.

— Ale że tylko wszyscy razem możemy go wykopać, dorzucił.

— Takie są warunki, rzekłem.

Pan Kajetan znowu się zamyślił, posunął palcem po czole i jeszcze cichszym ozwał się głosem:

— A gdyby... naprzykład... jednego z nas nie było?

Skrzywiłem się i rzekłem:

— To skarb nie może być wykopanym.

Kajetan milczał czas niejaki. Widziałem że coś w myśli waży. Wypogodziwszy czoło i uśmiechnąwszy się jak człowiek, którego to o czem przed chwilą mówił, nie wiele obchodzi, zaczął z innej beczki:

— Czy znasz wasze pannę Eulalię?

— Posażna i herbowna panna, odpowiedziałem.

— Ma to być dom bardzo dumny, dorzucił zamyślony.

— Dzisiejsza duma to rzecz krucha, rzekłem. Pieniądze przemogą ją zawsze.

— Czy tak waść sądzisz? poderwał skwapliwie.

— Nie inaczej, odparłem i uśmiechnąłem się, bo poczciwy Kajetan przy tych słowach strasznie głupio wyglądał.

Po niejakiem milczeniu ozwał się Kajetan:

— Dzisiaj już jest świat taki, że każdy musi myśleć o przyszłości. Od przybytku głowa nie boli. Panna Klara ma dobre złote serce, ale —

I zaczerwienił się po same uszy poczciwy Kajetan. Krew jego była lepszą od duszy.

— Mówią ludzie, ciągnął dalej, że afekt serdeczny trwa póty, póki bieda i niedostatek w oczy nie zaglądną.

Nic nato nie odpowiedziałem, widząc do czego zdąża mowa Kajetana. Ośmielony tem, chwycił mnie za pętlicę i z przyjacielską ozwał się poufałością.

— A przecież panna Eulalia ma i majątek i parentelę mości dobrodzieju! he?... A jabym jej taką czwórkę sprzągł do wiedeńskiej kolasy, jakiej w naszych górach jeszcze nie bywało. Bo co to waść myślisz, moja białonóżka z dereszem, a kasztanek z tak zwanym landsdragonem he?... A mości dobrodzieju, Mykitę ubrałbym w złote galony i kamasze he?... Widziałbyś waść, jakiby pan był ze mnie! he? A do tego wszystkiego nic mi więcej nie trzeba, jak pieniędzy! Czy tak panie Michale?

I jeszcze więcej chciał prawić poczciwy Kajetan, ale powstrzymałem jego ferwor, mówiąc:

— Jutro, jutro pomówimy o tem panie Kajetanie.

Powiedziawszy mi więc dobranoc, wyszedł do swojej izdebki. Jakie uczucia miała w tej chwili biedna sierota, Bogu tylko wiadomo. Może śniła o własnym domku, o małym ogródku.... i o wysokich kołnierzach pana Kajetana. Zaiste, tyle naszego szczęścia, ile człek prześni!

Smutno mi jakoś było. Otworzyłem okno, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

Zasłyszałem jakieś głosy kobiece. Panna Pulcherya rozmawiała z Anastazyą. Snać niedaleko mnie mieszkały.

— Gdybym była młodszą, mówiła panna Pulcherya, trudnoby mi było przestać myśleć o panu Karolu. Chłopiec gładki jak politura, a zgrabny i fertyczny jak wrzeciono.

— Ależ on ciociu szuka znacznego posagu, poderwała Anastazya.

— No... tak... zaprawdę, cedziła ciocia.

— Wprawdzie dzisiaj... zaczęła Anastazya i urwała.

— Dzisiaj, powtórzyła ciocia.

— Pan Krzysztof bardzo nas kocha, mówiła znowu Anastazya.

— Ciebie Naściu najmocniej, dorzuciła ciocia.

— Jakto? zapytała narzeczona pana Marcina.

— Szepnął mi w sekrecie do ucha, mówiła z cicha panna Pulcherya, że jeśli wszyscy nie przyjdą na miejsce oznaczone, to tobie tylko ten skarb zapisze. Bo wtedy zapis wczorajszy nie będzie ważny.

Nastąpiło milczenie. O czem pan Marcin śnił w tej chwili, łatwo odgadnąć. Zapewne śnił o złotych, ślubnych pierścionkach, słyszał we śnie jak organista wyciągał *veni creator*...

Zamknąłem okno i usiadłem w głębi izdebki. W szyby okna świecił księżyc biały. Zdawało mi się, że koło wzgórka, pomiędzy drzewami widziałem jakieś ludzkie, pojedyńczo przesuwające się postacie. Jakoś ciężko zrobiło mi się na sercu. Wziąłem „Złoty Ołtarzyk“ i otworzyłem. Wypadła mi „modlitwa w utrapieniu“.

Ciężkie zmory trapiły mnie we śnie. Już dobrze słońce w oczy mi świeciło, gdy pan Krzysztof wszedł do mojej izdebki. Miał jakiś dziwny uśmiech na twarzy.

— Wasze spisz, zawołał żartobliwie, a ksiądz proboszcz pewnie już się niepokoi. Żona waszmości od godziny trefi włosy, aby się mężowi przypodobać.

Porwałem się z łóżka, a za pół godziny byłem już w komnacie jadalnej, w której mieliśmy przede mszą zjeść wspólnie śniadanko.

Zastałem tam pana Jędrzeja z godną jego małżonką. Chociaż nie zmawialiśmy się wcale, byliśmy jednak świątecznie ubrani. Bo też uroczystością jest każdy akt zgody i jedności.

Po chwili nadeszła moja żona, ubrana jakby do ślubu. Uradowało mnie to, że nie lekceważy tej chwili. Nadciągnęła za nią panna Pulcherya z ogromną fluxyą na twarzy. Pan Krzysztof pełnił obowiązki gospodarza i krzątał się po komnacie.

— A gdzież Anastazya? zapytali rodzice.

— Biedaczka cierpi ogromną migrenę, odparła ciocia.

Pan Jędrzej spojrzał na żonę. Pan Marcin, który właśnie teraz wszedł w nowej, granatowej czamarze

i te słowa słyszał, zmieszał się nieco. Pan Krzysztof nie tracił fantazyi, zapraszając gości do stołu.

— Zawołać wszystkich, krzyknął pan Jędrzej do starego sługi, który stał przy drzwiach.

Długi czas złowieszcze panowało milczenie. Tylko pan Krzysztof był wesół i dobrej myśli.

Wreszcie wrócił służący.

— Gdzie pan Kajetan? zapytał drżącym głosem Boleszczycki.

— Nie przyjdzie, bo mu katar spadł na piersi, odpowiedział sługus. Prosi o rumianek na poty.

Sędziwa twarz staruszka zadrgnęła nieprzyjemnem uczuciem.

— A pan Sylwan? zapytał po chwili.

— Ma kurcz. wątroby i chce pijawki stawiać, odparł posłaniec.

Byłto ulubiony syn matki. Pani Jędrzejowej stanęły łzy w oczach. Wyszła czemprędzej.

— A gdzież Amilkar? pytał dalej staruszek a jasna łza drgała mu pod śrebrną powieką.

— Jest niedyspozyt, odpowiedział sługa, i bardzo przeprasza, że służyć nie może.

A Makary? z wysileniem wyrzekł Boleszczycki.

— Reumatyzm wlazł mu w nogi i ruszyć się nie może, odparł sługus i uśmiechnął się brzydko na sposób swego pana.

O biedną sierotę nikt się nie pytał. Weszła ona niepostrzeżona i stanęła w kąciku. Na jej bladej twarzyczce malowała się boleść.

Kilka chwil patrzaliśmy po sobie w milczeniu. Moja żona gniewała się na niegrzeczność kawalerów. Pan Jędrzej mocno posmutniał, a zwróciwszy się do pana Krzysztofa, rzekł:

— Krzysztofie, po cóż było to robić?

Więcej nie wyrzekł ani słowa. Łzy, duże jak grad, puściły mu się z oczu.

Pan Krzysztof przyskoczył do niego, a ściskając go rzekł:

— Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeźli dzisiaj rodzina twoja nagle pochorowała się, to odłóżmy rzecz do jutra.

Nadzwyczajna grzeczność i wesołość pana Krzysztofa nie uspokoiły trwożliwego serca pana Jędrzeja. I mnie coraz smutniej było, a kobiety wkrótce po śniadaniu powynosiły się.

Mszę świętą odłożono do jutra. A chociaż gospodarz różne wymyślał krotochwile, aby nas przez dzień cały zabawić, i po kilka razy chorych odwiedzał i uspakającą dawał nam relacyę, mimoto coś ciężyło nad nami, jakby jakaś chmura złowieszcza.

I tak przeminął dzień cały. Każdy z chorych obiecywał, że jutro zdrowym będzie.

Wreszcie nadszedł wieczór. Po wieczerzy odszedłem znowu do mojej izdebki. Długo czytałem na książce i rozmyślałem nad dzisiejszem wydarzeniem.

Było już koło północy, gdym się chciał spać położyć. Przystąpiłem do okna, księżyc świecił jasno jak wczoraj. Zadziwiło mnie, że koło wzgórka pomiędzy drzewami widziałem znowu jakieś ludzkie postacie, które kryły się w cieniach.

Wziąłem czapkę i wyszedłem.

Na dworze była cisza, słychać było każdy listek spadający na ziemię.

Zaraz za ogromnym kasztanem zdybałem Kajetana. Ukrywał za sobą jakieś narzędzie do kopania.

— A cóż tam katar? zapytałem.

— Trochę mi lepiej, odparł zakłopotany, świeże powietrze sprawia mi ulgę... Czy to prawda panie Michale, że z miejsca gdzie są pieniądze wychodzi siny płomyk?

— Tak mówią, odpowiedziałem... ale mam waszmości dobrą zwiastować nowinę. Panna Klara, dla której od młodych lat macie afekt, będzie bardzo bogatą!

— Jakto? krzyknął Kajetan, aż echo się ozwało.

— Pan Krzysztof daruje jej cały skarb, mówiłem dalej, bo dzisiaj nie wszyscy na miejscu stanęli.

Kajetan rozdziawił gębę, stał tak przez chwilę, a potem wybuchnął:

— Da jej cały skarb!... Zapewnie wtedy nie zechce pójść za mnie! Niezawodnie nie pójdzie!... Takto panie Michale, dzisiaj nie ma na świecie ani szczerego serca, ani uczuć szlachetnych!... Jam od dzieciństwa do niej się przywiązał, grałem z nią w konia, w ciuciubabkę i w sekretarza... zbierałem dla niej stokrótki i maczek polny... a w tej chwili, ona pewnie i nie myśli o mnie!... Świat brzydki, samolubny panie Michale... tylko plunąć na niego i kwita!...

I byłby jeszcze dłużej wyrzekał na świat zepsuty poczciwy Kajetan, gdyby nie był ujrzał kogoś pod wzgórkiem. Nie chcąc zapewne wilgotnem oddychać powietrzem, pożegnał mnie i zniknął w ciemnej alei.

Kilka kroków dalej spostrzegłem Makarego. Przycupnął za krzakiem.

— Czy wasze botanizujesz? zapytałem.

— A tak... niby... odparł zakłopotany Makary, widziałem tutaj świętojańskiego robaczka. —

Chociaż o świętojańskich robaczkach jeszcze nikt nie myślał, nie powiedziałem nato ani słowa, tylko rzekłem:

— A cóż tam reumatyzm?

— Majowa rosa sprawia mi ulgę, odpowiedział.

— Kiedy tak, mówiłem dalej, to możemy się przejść po alei i rozmawiać o książkach, które waść piszesz.

Chcąc nie chcąc przystał na to Makary, zerkając z ukosa na trzecią lipę z kraju.

— Jeźli się nie mylę, mówiłem do niego, to pierwsza książka, którą pan koncepujesz, ma mieć napis: O potrzebie zgody i jedności między nami.

— A tak, odparł Makary i znowu zerknął na trzecią lipę.

— Drugą książkę nazwałeś waść: O potrzebie ofiary i poświęcenia.

— A tak, mruknął znowu Makary.

— Trzecie dzieło waszmości ma nam zalecić: wspólność w sprawach naszych.

— Nie inaczej, odparł i obrócił się do fatalnej trzeciej lipy.

— A więc na ten raz poprzestaniemy na przypomnieniu tytułów prac waszmościnych, rzekłem, jutro przejdziemy ad specialia.

Obróciłem się i odszedłem.

Sylwana i Amilkara także zdala poznałem, jak tę nieszczęsną lipę okrążali, a do niej zbliżyć się nie mogli, bo jeden przed drugim ukrywać się musiał. Ale już ich nie zaczepiałem. Widać, że Sylwan niecnota i o czarnych oczach, o których śpiewał w Boleszczycach zapomniał w tej chwili. Amilkarowi chodził po kościach tytuł, jak się to potem okazało. Skarb ukryty miał go do tej jedynej mety jego życia zaprowadzić.

Takto najszlachetniejsze nadzieje nasze rozbijają się nieraz o to, że tylko o sobie myślimy. Synowie pana Jędrzeja całą noc krążyli koło skarbu, a żaden dla tego nie mógł się zbliżyć do niego, bo każden z nich chciał go mieć dla siebie.

Nazajutrz zeszliśmy się znowu razem na śniadanie. I znowu — nie było rodziny pana Jędrzeja.

Mój Boże! jak to trudno o tę jedną chwilę zgody, kiedy w sercach naszych rządzi tylko interes osobisty! Czemże są owe piękne słowa, owe deklamacye? Obłudą i podłością! —

Pan Jędrzej był mocno blady. Widać było, że przebył noc bezsenną. Ale staruszek nie wyrzekł dzisiaj ani słowa. Milczał, tylko z ust boleśnie zaciśniętych można było poznać, że wewnątrz wiele cierpi.

Koło południa położył się do łóżka.

Przy wieczerzy już nas tylko dwóch było, ja i pan Krzysztof. Pani Jędrzejowa siedziała przy łóżku chorego męża.

Pan Krzysztof uśmiechnął się i rzekł do mnie:

— Cóż waszmość na to wszystko?

Ruszyłem ramionami.

— Otóż dopiąłem swego, mówił dalej. Boleszczyckich w puch rozbiłem.

— Jakto, więc to był ostateczny cel całej tej komedyi? zawołałem oburzony.

Pan Krzysztof roześmiał się i rzekł:

— Musisz waszmość wiedzieć, żem z rodu Sicińskich. Głupi gmin wierzy, że każdy Siciński dziedziczy ducha niezgody swego przodka. Nieprawda. We wszystkich ludziach siedzi utajony Siciński, tylko trzeba go zbudzić. Egoizm, interes własny, namiętności nasze — to Siciński. A bez nich nie ma człowieka. Widzisz co się stało. Za dziesięć lat kupię Boleszczyce za pół ceny — bo rodzina Boleszczyckich runie niezgodą!—

Zerwałem się z krzesła i zawołałem:

— Przeklęty, trzykroć przeklęty niech będzie ten, który dla zysków osobistych rozsiewa niezgodę między bracią, wzniecając sztuką ich namiętności!... Kamień młyński uwiązać mu u szyi i zanurzyć w głębokościach morza! —

Pan Krzysztof rozśmiał się tak okropnie, że aż mi włosy na głowie stanęły.

— Głupi człowieku, krzyknął, ty sam jeden świata nie naprawisz!

— A ty nie zepsujesz go sam jeden, zawołałem i wyszedłem z komnaty.

Krzyknąłem na Grześka i tej jeszcze godziny kazałem zaprządz do kolasy. Żona moja rada nierada musiała się na to zgodzić. Wolałem w pierwszej lepszej karczmie nocować, niżeli być pod dachem człowieka, który sieje niezgody i zabija ludzi.

Za godzinę, wyjechałem z ›Złotej góry›. —

Od tego czasu minęło wiele lat. Pan Jędrzej chorował cały rok na jakąś chorobę sercową i umarł dowiedziawszy się, że Sylwan go procesuje. Pani Jędrzejowa wyprowadziła się na stare swoje lata do poblizkiego miasteczka i tam w rok poszła za mężem. Biedna sierota służy za kawałek chleba.

Boleszczyccy rozbiegli się po całym świecie, procesując się między sobą.

Pan Krzysztof dostał szaleństwa i po całych dniach śmiał się tak przerażającym głosem, że żaden sługa nie mógł u niego wytrzymać. W końcu obwiesił się na trzeciej lipie przy wzgórku w ogrodzie Złotej góry.

Prócz owego zapisu w dniu św. Floryana nie zostawił żadnego testamentu.

Sąd uznał go za jedyny, prawomocny dokument i do exekucyi tej woli ostatniej nieboszczyka Krzysztofa, zwołał całą Boleszczyckich rodzinę.

Żaden nie stanął na miejscu. Procesa ciągną się dalej.

Dwór w Boleszczycach rozwalił się, wrony i sowy gnieżdżą się w sterczących kominach, obrzydliwy gad pełza między rumowiskiem.

A skarb zakopany leży dotąd nietknięty!

Trzydzieści kilka lat minęło od tego czasu, a jeszcze nie nadeszła ta chwila zgody braterskiej.

Wieść o zakopanym skarbie i niezgodzie tych, których on wspólną jest własnością rozeszła się między lud okoliczny i różne opowiadają o tem rzeczy.

I mnie też przez te czasy nienajlepiej się powodziło, ale o tem innym razem.

Patrząc na to wszystko, za czem dzisiaj ludzie uganiają, bolałem srodze i nieraz otworzywszy ›Złoty Ołtarzyk› i odmówiwszy ›modlitwę w utrapieniu› dodawałem w końcu:

— O Boże, Tyś zródłem czystej miłości, spraw to Wszechmocny, aby zgoda i miłość panowały między nami.

I Bóg wysłuchał mnie i zesłał mi anioła pociechy i nadziei.

Przed dziesięciu laty przejeżdżałem przez ›Złotą górę›. Dwór się zapadł, lipy na wzgórku poschły, inne wicher powywracał, a niektóre ścięła ręka bezbożna. Smutno, bardzo smutno było mi w duszy. Przyszła mi na myśl niezgoda między bracią.

— I długoż trwać będzie ta niezgoda? zapytałem siebie.

Koło kościółka kazałem stanąć, aby konie wypoczęły. A sam, zdjąwszy czapkę poszedłem na cmentarz, aby odmówić anioł pański, bo właśnie dzwoniono.

Na cmentarzu bawiły się dzieci.

— Bawmy się w „skarb zakopany“ zawołał jakiś miły chłopaczek o błękitnych oczach.

— Bawmy się, bawmy się! zawołały dzieci.

Stanąłem koło muru i patrzałem z boku. Zadziwiło mnie to szczególne zdarzenie.

Jeden z chłopców z rudą czupryną udawał ś. p. Krzysztofa i zapisywał drugim skarb ukryty. Ale przedewszystkiem mieli wszyscy zgadzać się z sobą.

Serce uderzyło mi w piersi, zdawało mi się, że Bóg przez te dzieci do mej zbolałej duszy przemawia. Jakoż doznałem wielkiej pociechy. Wszystkie dzieci otoczyły w zgodzie i jedności ogromny kamień i wspólnemi siłami ruszyły go z miejsca.

Podziękowałem Bogu za tę pociechę i rzekłem do siebie:

— Boleszczyccy nie wydobędą skarbu, który w ziemi leży, ale dzieci ich dostaną go.

Gdym siadał na bryczkę, ujrzałem niskiego, pękatego człowieczka biegnącego z ogromnym kijem na cmentarz kościółka.

— A to urwisze, te dzieciaki! krzyczał i machał kijem.

— Cóż one panu zrobiły? zapytałem.

— Wyobraź pan sobie, mówił pękaty człowieczek sapiąc z gniewu, uroiło się tym dzieciakom, że pod tym dużym kamieniem są pieniądze!

— Wszak go nie ruszą z miejsca! wtrąciłem.

— Ba! zawołał nieznajomy, jak się wszyscy razem wezmą! —

Rozśmiałem się i kazałem zaciąć konie.

Był to administrator ›Złotej góry‹. Żył on z niezgody między rodziną, toż każda zgoda, nawet u dzieci, była mu nieznośną. —

Zajrzałem do rubryceli, był to dzień św. Floryana.

* * *

Na tem kończy się opowiadanie JMPana Symplicyusza Prawdzica, którego zna cała ziemia Przemyska. Słuchałem tego opowiadania będzie temu lat kilkanaście. Powtórzyłem je tu prawie dosłownie, bo mocno utkwiło mi w pamięci. Opowiadał nam także o jednej rodzinie, która w zgodzie i jedności wiele dokazała rzeczy. Jak będzie czas potemu, może kiedyś ›w kółku rodzinnem‹ powtórzę.

Jan Zacharjasiewicz.

Do album T. M.

. . . Mój przyjacielu pamiętaj więc o tem,
Żeś poznał brata z mazowieckiej ziemi,
Jednego z owych co pod wiejskim płotem
Z pod płachty patrzą na mgławe zagony —
Jednego z owych, co tu pasą konie,
I z owych, którzy za bydłem dmą w dudki,
A takie dumki, że aż duma błonie,
Jakieś dalekie powtarzając smutki....
Poznałeś brata z owych co tu redlą
I włóczą ziemię pooraną pługi,
Z owych, co kiedy raz się gdzie osiedlą,
Już nie wygonią ich żadne szarugi;
Ziemia im matką i ziemia im świętą,
Toż żyć i na niej umierać też radzi,
A choćby jako te drzewa ich ścięto,
Topor się stępi a ich nie wygładzi;
Toś poznał brata z mazowieckiej kniei,
Który jak wszyscy z tej nieszczęsnej strony
Nie mają więcej nic oprócz nadziei
Na krzyżu jakby szmata zawieszonej!

T. Lenartowicz.

Rzym 22. Stycznia 1859.

Pamiątki Trębowelskie

przez

Augusta Bielowskiego.

(Ciąg dalszy).

Wsewołod, wielki xiążę kijowski, osadził syna swego Świętosława we Włodzimierzu roku 1142. Nie podobało się to Włodymirkowi; począł głośno przeciw Wsewołodowi wyrzekać i odgrażać się, nareszcie wojnę mu wypowiedział. Skutki jej poczuła przedewszystkiem Trębowla i jej okolica jako pogranicze xięstwa halickiego. Wiódł Wsewołod wojsko ogromne, złożone z najrozmaitszych hufców. Był między nimi nasz Bolesław kędzierzawy, zięć Wsewołoda, byli xiążęta czernichowski, turowski, smoleński i wielu innych, dowodzący osobiście swemi pułkami, był wojewoda Nerewin z posiłkami Nowogrodu wielkiego, byli nakoniec Połowcy. Włodymirko spowinowacony z królem węgierskim, otrzymał posiłki z Węgier. Z niemi wyruszył ku Trębowli naprzeciw Wsewołodowi. Rozdzielała oba wojska rzeka Seret i walkę utrudniała. Unikał jej Włodymirko w polu otwartem, zwracając główną baczność na swe zamki. Aby ją z tej strony odciągnąć, posuwał się zwolna Wsewołod lewym brzegiem Seretu w górę, zdążając ku Dźwinogrodowi. Włodymirko szedł prawym brzegiem rzeki obóz swój w lasach i po wyżynach rozstawiając. Pochód ten trwał cały tydzień. Właśnie już stanął w Gołogórach Włodymirko, gdy Wsewołod otrzymał wiadomość że Izasław Dawidowicz na czele Połowców zdobył Uszycę i Mikulin [1]) koło Trębowli. Natenczas pomknął się on szybko i stanął z zachodniej strony u Dźwinogrodu. Opuścił teraz góry Włodymirko i zbliżył się pod ten

[1]) Teraz Mikulińce nad Seretem.

gród. Płynie z południowo-zachodniej strony rzeka Białka i spadku należytego ku północy nie mając zalewa znaczną przestrzeń swojemi moczarami. Wody jej były w owych wiekach nierównie obfitsze. W środku tych wód w stawki i jeziora umyślnie połączonych wznosił swoje warownie Dźwinogród, dziś wioska mała pode Lwowem. Obozy przeciwne rozdzielała Białka z swemi błotami. Całe wojsko Wsewołoda rzuciło się do robienia faszyn, a nazajutrz puściło się przez rzekę. Włodymirko uszykował się przed zamkiem na błoniu i czekał na spotkanie. Miejsce do uderzenia na niego było wcale niesposobne; Wsewołod pominął gród, a stanąwszy z południowej i zachodniej strony na górach odciął Włodymirka od Przemyśla i od Halicza. Haliczanie Włodymirkowi poczęli szemrać: Oto mówili my stoim tu, a nieprzyjaciel może pójść do stolicy i zabrać w niewolę nasze rodziny. Włodymirko przekonawszy się o niepodobieństwie pokonania przeciwnika tak potężnego, począł prosić o pokój. Nie łatwo było go teraz u Wielkiego xięcia uzyskać. Xiążę halicki udał się do Igora Olgowicza którego Wsewołod następcą po sobie naznaczał. Oznajmił mu że jeśli wdaniem się swojem wyjedna mu u Wsewołoda przebaczenie, natenczas on pomoże mu do utwierdzenia się na tronie kijowskim, i będzie jego stałym przyjacielem. Igor ujął się szczerze za nim, i namawiał Wielkiego xięcia do pokoju. Gdy mu się ten opierał, rzekł Igor z rodzajem wyrzutu: Oto dajesz mi po sobie tron, a odejmujesz sposobność zjednania sobie przyjaciela. Te słowa osiągnęły swój skutek. Wsewołod zezwolił na pokój. Przeprosił go Włodymirko i otrzymał na powrót utracone zamki Uszycę i Mikulin; ale zapłacić musiał 1400 grzywien, które Wielki xiążę między sprzymierzeńców swoich rozdzielił. Kronikarz wołyński robi tu uwagę że Włodymirko wiele gadał przed wojną, a po wojnie wiele zapłacił.

Pokój trwał nie długo, a Igor nie kosztował nigdy owoców owej przyjaźni, o którą się tak usilnie dobijał. Powód nowych między Włodymirkiem a Wielkim xięciem kijowskim nieporozumień był następujący. Rościsław, brat starszy Włodymirka, zostawił syna, Iwana, zwanego Berładnikiem. Umiał sobie młody ten xiążę zjednać przychylność ludu, a że stryj zabrał mu dziedzictwo jego po ojcu, bawił więc przy stryju swoim w Dźwinogrodzie. Zdarzyło się że gdy Włodymirko wyjechał do Tyśmienicy na łowy, Haliczanie przyzwali nagle Iwana z Dźwinogrodu i jednomyślnie xięciem go swoim obwołali. Rozgniewany Włodymirko, zebrał czemprędzej wojsko i obległ Halicz. Stawił mu dzielny odpór Iwan z Haliczanami przez trzy tygodnie. Raz po raz robiono z miasta wycieczki i zawzięcie z obojej strony walczono. W jednej z takich wycieczek w niedzielę zapustną przedsięwziętej, a dowodzonej przez samego xięcia utracił on mnóstwo ludzi i został odcięty od grodu. Nie mogąc wrócić do Halicza, przedarł się zbrojną ręką przez Włodymirka obóz, i umknął ku Dunajowi a ztamtąd do Kijowa szukając na dworze Wielkiego xięcia ochrony i pomocy dla siebie. Haliczanie poddali się. Skłonniejszy do okrucieństw niż miłosierdzia Włodymirko karał ich z bezprzykładną surowością. O Iwanie Berładniku nie dał sobie i mówić, i gotował się z wojną na Wsewołoda, który go też uprzedził. Szli więc powtórnie około roku 1146 ci sami sprzymierzeńcy Wielkiego xięcia kijowskiego w xięstwo halickie. Utrudniały im pochód niesłychane roztopy śniegowe i bagna zrządzone ulewnemi deszczami; pospieszali jednak na kołach i na saniach i stanęli pod Dźwinogrodem. Pierwszego dnia popalili w około grodu tak zwane ostrogi, a nazajutrz Dźwinogrodzanie zwołali wieca i postanowili poddać się. Był w Dźwinogrodzie wojewodą Włodymirka Iwan Chaldejewicz, ten srogością ratował zamek. Zchwytawszy trzech znakomitszych Dźwinogrodzanów, którzy na owych wiecach główny głos zabierali, kazał ich okrutnie pozabijać, a trupy w pół poprzecinane z grodu wyrzucić. Strach padł na resztę mieszkańców i radzi nie radzi, bronili się do upadłego. Trzeciego dnia przypuścił Wsewołod szturm powszechny. Bili się od świtu do ciemnej nocy. W trzech miejscach zapalono gród; mieszkańcy jednak ugasili pożar i szturm odparli. Wsewołod wrócił do Kijowa i zamyślał o nowej wyprawie, tymczasem zachorował i umarł.

W kilka lat później była samaż Trebowla widownią wielkiej bitwy Kijowian z Haliczanami. Włodymirko halicki łączył się z nieprzyjaciołmi Izasława, Wielkiego xięcia kijowskiego, najeżdżał jego kraj i grody jego zagartywał; Izasław szukał pomocy w Polsce i Węgrzech. Roku 1152 Gejza II, król węgierski, z szwagrem swoim, Izasławem przedsięwzięli spólną wyprawę. Umówiony był czas i miejsce połączenia się. Z Włodzimierza puścił się z wojskiem Wielki xiążę do Jarosławia, tam już nań czekał Gejza i szli pod Przemyśl. Siedmdziesiąt i trzy pułki liczono w samem wojsku węgierskiem; Izasław zaś prócz licznych posiłków, które mu rozmaici ruscy xiążęta przyprowadzili, wiódł z sobą Czarnych Kłobuków. U Sanu pod Przemyślem stał Włodymirko i bronił przeprawy. Była niedziela. Gejza miał zwyczaj nie walczyć nigdy w ten dzień. Niektórzy jednak z przedniej straży podsunęli się zanadto pod hufce halickie, i pochwytał ich Włodymirko. Nazajutrz rano rzucili się Węgrzy w bród, i rzekę w kilku miejscach przebyli. Próżne były wszelkie usiłowania przeciwników, aby ich wstrzymać. W mgnieniu oka rozbito i rozpędzono hufce halickie lub zabrano w niewolę. Włodymirko samowtór tylko, ze Zbigniewem Iwaczewiczem, do zamku uciekając, musiał się przebijać przez Węgrów i Czarnych Kłobuków; wyszedł jednak cały i nietknięty. Sam zamek przemyski ubiegliby byli Węgrzy i z łatwością opanowali, bo nie było komu go bronić; ale na łęgu nad Sanem stał dwór xiążęcy, a w koło niego namioty: tam rzuciło się wojsko za łupem i za długo się tem zabawiało.

Włodymirko widząc oczywistą swą zgubę, wziął się na sposoby. Tej jeszcze nocy rozesłał do arcybiskupa i panów węgierskich wielkie dary w pieniądzach,

w złotych i śrebrnych naczyniach, i w szatach drogich, prosząc aby mu pokój u Gejzy wyjednali. Sam wlazł do łóżka, udając że jest bardzo chory i jakoby już umierający z ciężkich ran. Ujawszy sobie radę królewską, słał wprost do Gejzy, mówiąc: Oto królu! wykroczyłem srodze przeciw tobie, i srodze też ukarany zostałem: zwyciężony jestem i ciężko ranny. Gdy się już Bóg zemścił za twą krzywdę, nie mścij się za nią ty. Przebacz mi i nie wydaj mię, rannego, Izasławowi. Chory jestem bardzo. Jeśli umrę, poruczam ci syna mojego. Weź go do siebie, i zastąp mu mnie. Twój ojciec królu, Gejza ślepy, miał we mnie sprzymierzeńca. Szczerze mu pomagałem. Krzywda jego bolała mię jak moja, i za nią z Polakamim się bił. Pomnij dziś na to, pomnij królu! i odpłać czynem dobrym dobry czyn.

Gejza zmiękł, i począł myśleć o pokoju. Zdumieli się na to xiążęta ruscy i wszystkiemi siłami starali się odwieść go od tego. Izasław i syn jego Mścisław, który był najbardziej tem oburzony, przedkładali Gejzie ileto złego wyrządził jemu i im xiążę halicki, i jak trudno było z nim dać sobie radę. Masz go teraz w swym ręku, mówili, uwięź go, a krajem się podzielmy. Gejza odpowiedział: Tego co się oskarza i sam mi się w ręce oddaje, zabić nie mogę.

— Ależ to wszystko obłuda tylko. Cokolwiek zrobi dziś, gdy jest w twym ręku, cokolwiek ci przyrzecze, niczego, skoro się ujrzy wolnym, nie dotrzyma. Cóż będzie wtedy?

— Wtedy albo ja królem, albo on xięciem więcej nie będzie. —

Stanął więc pokój. Warunki które podał Gejza, były łagodne, i z radością przyjął je Włodymirko. Przyrzekł zwrócić Izasławowi zabrane różnemi czasy przez siebie grody ruskie. Ruskiemi, uważa przy tej sposobności Karamzyn, zwano w owym wieku te tylko grody które do Wielkiego xięcia kijowskiego należały; halickie od nich wyłączając. Byłyto grody następujące: Gnojnica, Wygoszów, Tychoml, Szumsk i Busk. Przyrzekł też Włodymirko zostawać z Izasławem w ciągłej zgodzie, nie odłączając się od niego zarówno w szczęściu jak w niedoli. Rad nierad poprzestać musiał na nich i Izasław, szło tylko o ich dotrzymanie. Mieli królowie węgierscy od czasów jeszcze Stefana I krzyż wyrobiony z drzewa na którym Chrystus Pan wisiał, bogato w złoto i kamienie drogie oprawny. Z nim posłał Gejza do mniemanego chorego, aby warunki pokoju poprzysiągł. Ze strony Izasława szedł z tym krzyżem do Włodymirka Piotr Borysławicz. Zwyczajem było przy tego rodzaju ceremoniach, że przysięgający dawał oraz pismo pewne swemu sojusznikowi, i takowe obie strony starannie przechowywały jako dowód zawartego przymierza; odesłać zaś takowe pismo, znaczyło wojnę mu wypowiedzieć. Wszystko to zostało ściśle dopełnione.

Sprzymierzeni rozstali się. Gejza udał się do Węgier, Izasław wracał do Kijowa. Gdy przyszedł do Włodzimierza, posłał swych posadników, aby stosownie do umowy oddano mu pomienione grody. Włodymirko oddać mu ich nie myślał. Po niejakim czasie posłał do niego Izasław z Kijowa owego Piotra Borysławicza, aby mu przypomniał jego przysięgę, i w razie nieoddania grodów ruskich wojnę wypowiedział. Przybył Piotr do Halicza i przedkładał to Włodymirkowi. Ten wręcz mu odpowiedział, że grodów ruskich nie odda.

— Alèż xiążę! przysięgałeś, i całowałeś krzyż święty; mówił Piotr.

— To był krzyżyk mały, nie krzyż; odparł Włodymirko. —

— Mały, podchwycił Piotr, ale wielka jest jego potęga.

Chciał mówić dalej, ale xiążę kazał mu milczeć i wyjść. Zostawił tedy owe pismo na znak wypowiedzenia wojny, i odszedł, a xiążę nie kazał mu dać ani strawy, ani podwody.

Swojemi końmi wracał Piotr; Włodymirko szedł właśnie do cerkwi ś. Spasa na nieszpory. Idąc, postrzegł zdala odjeżdżającego i rzekł z drwinami: oto pojechał Rusin grody wszystkie zabrawszy.

Xiążę zapadał różnemi czasy na dnę czyli pedogrę. Zdarzyło się, że gdy zabawiwszy na nieszporach wracał do domu, uczuł nagle ból w krzyżach, i zawołał kto mię uderzył? Ból wzmagał się tak szybko, że go już do dom zaniesiono. Niektórzy mówili, że dna podstąpiła do głowy; inni inaczej tę rzecz wykładali. Tymczasem boleści nie ustawały i skonał w nich xiążę tej jeszcze nocy.

Piotra Borysławicza zawrócono z drogi. Goniec dognał go w Bołszowie. Powiózł do Kijowa wiadomość o śmierci Włodymirka, i oświadczenia uprzejme od syna jego, Jarosława, ale gdy przyszło do zwrócenia grodów ruskich, zwołał Jarosław radę, a na niej postanowiono iżby grodów nie zwracać.

Gejza zajęty był wojną z Carogrodem. Nie oglądając się na niego Izasław wyprawił się z początkiem 1153 roku na Jarosława. Towarzyszyło mu mnóstwo drobniejszych xiążąt ruskich i horda Czarnych Kłobuków. Skupiwszy wojsko swoje we Włodzimierzu, szedł ztamtąd ku Stankowu nad Seret; tu właśnie zdążał i Jarosław z swemi hufcami. Wysłał Wielki xiążę kijowski na przód Włodzimierza Andrzejowicza, tudzież syna swego Mścisława i Czarnych Kłobuków dla zapewnienia sobie przeprawy przez rzekę, sam zaś szedł do Trębowli. Nazajutrz rano była mgła tak gęsta że kopijnik nie mógł dojrzeć kończyny swojej kopii. Pod jej zasłoną przeprawiło się na drugą stronę Seretu całe wojsko Izasława bez żadnej przeszkody. Ku południowi ustąpiła mgła i nieprzyjaciele w oczy sobie zajrzeli. Drużyna halicka mówiła do Jarosława: Xiążę! jesteś młody, odejdź na miejsce bezpieczne i przypatruj się zdala, my sami walczyć będziemy. Jesteś u nas jedyny, gdyby ci się co złego przytrafiło cóżbyśmy bez ciebie poczęli? Twój ojciec kochał nas niegdyś i żywił, teraz ty nas kochasz i żywisz, za cześć więc ojca twego i twoją chętnie głowy nasze położym. Oto gród niedaleko, zamknij się w nim,

my stoczym bitwę, a kto z nas żywy z niej wyjdzie, pospieszy złączyć się z tobą. Usłuchał xiążę i zamknął się w Trębowli. Wojska uderzyły na siebie i była straszna bitwa; trwała od południa do nocy. W końcu powstało zamieszanie, i nie wiedziano kto zwycięzca, kto zwyciężony. Pędził przed sobą pierzchających Haliczanów Izasław; ale bracia jego przed Haliczanami pierzchnęli. Pierzchnął i ścigany był przez nich Świętopołk xiążę włodzimirski; po nim Włodzimierz Mścisławicz; nakoniec Mścisław, syn Izasława. Panem jednakże pobojowiska został Izasław, i chcąc się zemścić za cząstkową klęskę swych hufców, użył podstępu. Wywiesił przed sobą sztandar halicki, a wracający z pogoni Haliczanie mniemając że to ich obóz, zewsząd się ku niemu garnęli. Czatowano już na nich i brano do niewoli. Tym sposobem udało mu się nabrać ogromną ilość niewolników. Nazajutrz widząc hufce swoje nieliczne, i obawiając się iżby nań załoga trębowelska nie uderzyła, kazał prócz niewielu bojarów wszystkich zresztą jeńców wyścinać, i z spokojnem sumieniem wracał do Kijowa. Tam odprawiał swoje gody weselne; a był we wszystkiej ziemi halickiej wielki płacz. (*D. c. n.*)

Z ŻYCIA ROŚLIN.

Węgiel.

O czarnym węglu rzecz moja.

Spłonęła roślina, uleciało życie, a zostały czarne, martwe szczątki. I zimny, zda się nieżywy ów kościotrup; i zczerniał, choć niedawno nadziei pełen zielone ramiona, podnosił ku niebu.

Jak przez piszczele huraganem zasutej karawany, przewiewa przezeń wiater żałośny, przewiewa przez szczeliny, gdzie pęknął od bolu, przez wyschłe naczynia, gdzie grały soki ożywcze.

Lecz jądrne, ognia pełne życie choć spłonie w nadmiarze gorąca, — i po śmierci żywe. Ognista myśl bohaterów, którzy giną dla niej, nie zstępuje wraz z nimi do grobu; brzmi ona w późne pokolenia, jako iskierka tli w ich piersiach — martwym węglom podobna.

I w węglu życie obudzić się zdolne!

Oto wężyk płomienia zbliża się ku martwym, czarnym szczątkom, i ciepło zaczyna z nich uderzać, światło z nich tryska, — grzeją i świecą... a światło i ciepło to dwie potęgi życia!

A zasób tych potęg nie ginie do szczętu!

Zostaje popiół, — a w popiele jest już pokarm ziemski dla świeżej rośliny-dziecięcia, co reszty we wolnem odszuka powietrzu.

Szczątki czarne, historyę waszą opowiadać będę.

Gdyby czas nie istniał, gdyby się można wstecz cofnąć o miliony lat i wzlecieć po nad ziemię naszą, — jakiżto widok uderzyłby oczy ludzkie? Jakże ona dziwnie wyglądała w onczas, gdy panował na niej świat roślin wspaniałych, rosły i olbrzymi, a cichy i spokojny jak dziecko. Nie było tam naonczas zapor i zakresów naszej ludzkiej ziemi, lecz wyspy a wyspy rozrzucone po ciemnem tle wód pierwotnego morza zalegały całą kulę ziemską.

Z moczarów i trzęsawisk pokrytych wodorostami (algae) i mchami składały się w większej części owe wyspy, a każda z nich była oraz bujną oazą drzew, co szczytami kąpały się we mgłach i chmurach wiszących wiecznie w powietrzu.

Toż zmrok ciągły, wilgoć i para były wytwornym pokarmem dla roślin, których skarłowaciałe potomstwo teraz ledwo w gąszczu drzew i krzewów wychować się może.

Olbrzymie paprocie, — to budową palmom podobne rozwijały u wierzchołka w jeden baldakim swoje lekkie, powiewne, a 10—15 stóp długie wiechy, — to tryskały niemi prosto z ziemi tworząc ogromne a wątłe krzaczyska, teraźniejszemu leśnemu potomstwu podobne. Przyłączyły się tu spokrewnione z niemi a obecnie zupełnie wygasłe *Sygillarje* z pniami od 40—60 stóp wysokiemi.

Do 100 stóp wysokie *Lepidodendrony* (z familii lykopodiaceów) widłowato u wierzchu podzielone, a liści zieloną łuską pokryte wznosiły dumne czoła ponad głowy innych. Toż i drzewiaste skrzypy (*kalamity*) i wymarłe zupełnie a pokrewne im *Asterofility* garnęły się do ich grona, — a nawet rośliny liliowe i palmy choć rzadko, tu i owdzie się zabłąkały.

Jakąż ironią tych olbrzymów są obecnie nasze po lasach kryjące się *Włóczęgi* (*Lycopodium clavatum, complanatum, anotinum, Selago*), nasze skrzypy (*Equisetum arvense, hiemale* i inne) narzędzie tokarzy i stolarzy! Co za potomstwo tego tak zacnego a dumnego rodu!

Lecz długo, długo trzymał ten ród w dzielnym ręku panowania wodze. Wygasały i rodziły się pokolenia, na gruzach ojców wyrastała dziatwa życiem silna, — i wiecznym zdawał się być ów

. . . . wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych.

Aż oto przyszedł czas temu panowaniu. Częścią naturalną, częścią zaś gwałtowną śmiercią, po niezmiernie długich rządach wygasał ten świat roślinny — kiedy już zwolna warunki istnienia się zmieniały — a z nim wygasły i pośrednie ogniwa jestestw organicznych. Prądy morskie wyrywały i unosiły z sobą gromady owych pniów niezmiernych, i czyto u wybrzeży ówczesnych, czyto u gór podnóży lub w głębszych kotlinach, zbierały się na spoczynek wieczny ogromne ich gromady.

I ciężki, ciężki sen był tym olbrzymom! Pod naciskiem wody i osadów świeżych a bez wolnego przystępu powietrza rozkładały się bardzo powoli, węgliły się i zsychały ich ciała, wreszcie zmarły — skamieniały na zawsze!

Aż owo po długim i przedługim czasie wykopał człowiek odwieczne zwłoki, poznał że to niegdyś było żywe, i nazwał *węglem kamiennym*, niby zmarłem życiem.

*

A jeszcze raz powtórzyła się była owa wielka scena przed przyjściem człowieka na ziemię! Była ona raczej dalszym ciągiem tamtej, lecz inneto, dalej odbiegłe pokolenia wzrosły by zamrzeć raz jeszcze, nimby je oczy oglądnęły ludzkie.

I były tu jeszcze palmy i cykadee, rozbitki starszych a przywódzcy młodszych pokoleń, które głównie z iglastych karłowatszych drzew się już składały. I było między niemi jedno drzewo szlachetne (*Pinites succinifera*), które łzami złotemi a wonnemi płakało nad niedolą i zagubą rodu. I połykało morze i wsiąkała ziemia owe łzy złociste… Aż owo ostatek co legnął snem śmierci, to rodzona bracia naszych sosen i jodeł, klonów i topoli.

I te szczątki z pośród pokładów iłu i piasku odgrzebał człowiek ciekawą ręką, a dał im nazwę *węgla brunatnego*.

A na brzegach Bałtyku stanął Żmudzin i patrzy daleko przed siebie. Nic nie widać tylko

Chmurne niebo nad głowami,
Żółte piaski na około;
W dali szumi bałwanami
Sine morze burzą wzdęte —

aż zwolna widać, widać, już

Płyną fale do brzegu, o brzeg się rozbiją;
I rozprysnął się bałwan, a po nim nic nie ma!
Trochę piany, którą się suche piaski myją,
Trochę muszli i rybek i bursztynu bryła,
Co się wstydząc przed słońcem do ziemi zaryła.

(*J. I. Kraszewski.*)

Poskoczył Żmudzin, podniósł bryłę bursztynu, a byłato jedna z łez owego szlachetnego drzewa, co płakało nad rodu swego niedolą. Stężała ona w chłodnej wodzie bałwanów do południowego ciepła niegdyś przywykła, o czem nietylko szczątki naszych drzew iglastych i miareczkowych (*cupuliferae*) ale i rodzajów żywotnika (*thuja*), cyprysu, kasztana słodkiego, i innych roślin południa, w niej zawarte świadczą.

Jeden z najogromniejszych grobów owego roślin starego rodu odkopano w naszej Polsce. Czternaście mil wzdłuż a dwadzieścia w szerz, od Tostu aż po Alwernię i Tęczynek, a od Hulsztyna aż po Siewierz rozciąga się owo leżysko zmartwiałego życia. Czarne i pstre marmury, zlepiszcza wapienne, piaskowce, wapień getyngski i formacyi Jura, nakrywają i za łoże służą zwłokom tym odwiecznym, których pokłady bardzo są silne, a wszystkie regularnie poziomo ułożone. Rozróżniają tu kilka gatunków węgla; przeważnie nie zawierają one wiele ziemnych części, a ztąd i koks dają wyśmienity.

Smutna tu okolica, — jak zwykle na grobach! Towarzysze i stróże zmarłych olbrzymów nie dozwalają wątłemu pokoleniu cieszyć się życiem, kędy zacni przodkowie złożyli swe kości. Toż słabo zarośnięta sypka i piasczysta, lub tęga a gliniasta ziemia. Wątłe żyto, lekki jęczmień lub owies ledwo się tu żywią. I tylko lasom jodłowym dozwolono wzrosnąć. Lecz godnyto strój grobów! Cichy i spokojny, a smutny żałobną swą zielenią.

I ludziom nie zawsze dozwolono naruszać martwe szczątki tych olbrzymów. Chciwe ręce pokolenia krzyżackiego chciały rozkopywać nieraz nadmorskie ich mogiły z przyczyny cennych łez bursztynowych, lecz zawsze zasypywały się z hukiem mozolnie wygrzebane lochy.

Obecność węgla była powodem, zwłaszcza na Szlązku, do założenia wielu hut żelaznych także i cynkowych. Ztąd i wydobywanie tego cennego pomocnika na wielkie rozmiary musiało się odbywać. Już w r. 1824 wynosiła produkcya węgla w Szlązku 4,396,760 — a w Rpltej krakowskiej i królestwie 1,421,400 korcy.

Produkcya ta zwiększyła się teraz znacznie z zaprowadzeniem kolei, z wyrobem gazu do oświecania itp. —

Zastanawiał się człowiek nad wykopanym węglem, badał jego naturę, — i znalazł, iż oprócz różnych ziemnych i metalicznych części, najgłówniejszą zajmuję *węgiel* (C) jako pierwiastek chemiczny, (*węglikiem* także zwany), a ztąd wielkie jego podobieństwo do węgla zwykłego.

Nasunęła mu się więc myśl czyby też i te szczątki odwiecznych roślin do rzemiosł, opału, rękodzielni itp. używać nie można?

I zamyślił się, robił doświadczenia i badał dalej.

Dowiedział się powoli że przy paleniu węgla, — a przeto drzewa i wszystkich ciał organicznych, gdyż węgiel do składu *wszystkich* wchodzi, — tlen (kwasoród) powietrza atmosferycznego z nim się łączy i w kształcie gazów ulata; że tym sposobem palenie jest prostym procesem chemicznym. Ponieważ atoli w ciałach organicznych obok *węgla* (C) jeszcze *azot* (N) *wód* (H) i tlen (dwa ostatnie części składowe wody) głównie figurują, więc niejedno lecz więcej ciał w formie gazów jako produkt palenia się tworzy. —

Więc znowu badał człowiek gazy po kolei.

Wielką część tych gazów stanowi gaz kwas węglowy (CO_2) wszystkim dobrze znajomy. Któż bowiem nie zna albo wód naszych górskich, zdrojowisk Szczawnicy, Krynicy, Bardyjowa z ich kwaskowatym, bijącym smakiem; lub sztucznej wody musującej gdzie w takiej obfitości uchodzi? — Spotykamy go tu wolnym, niespętanym, toż zaraz zuchwalec ulata, i w powietrzu się unosząc stałym się jego towarzyszem staje, nie gardząc także i mało dla powietrza przystępnemi lochami i jaskiniami w ziemi. Lecz dziwne koleje przechodzi nasz kwas w powietrzu. Łaknące pokarmu rośliny wciągają go w siebie mikroskopowemi otworami w powierzchniej błonce listków; pod wpływem słońca przypodobniają ciału swemu *węgiel* w nim zawarty, tlen wyziewając napowrót w powietrze; — i wyssałyby go zupełnie gdyby nie źwierzęta! Źwierzęta owóż żywiące się przeważnie roślinami, przyswajają sobie ich węgiel, który w krew głównie przechodzi. — Krew rozlewa się po płucach, przechodzi w styczność z powietrzem, a tlen powietrza łącząc się *z węglem*, znowu w kształcie kwasu węglowego z więzów go uwalnia.

Wieczyste więc koło robi węgiel w naturze. Jako kwas węglowy służy za pokarm roślinom, w roślinach sam żywi ludzi, w których znowu na kwas się paląc, uchodzi, by zacząć napowrót swe koło.

Jakże więc życie ludzkie podobne do szczypy palącej się lub płomienia świeczki! Nietylko że rodzą się i zapa-

lają, gasną i umierają wspólnie, lecz akt życia i palenia tożto jeden i ten sam proces chemiczny! —

Jak wolny w powietrzu, tak niewolny związany otacza nas kwas węglowy prawie wszędzie. Nie potrzeba tylko kroplę kwasu jakiego puścić na mur domostwa lub proch uliczny a wnet on pieniąc się uchodzi w powietrze. Ulata przy paleniu wapna, z którem był w połączeniu (CaO, CO_2), w popiele ukrywa się w potażu (KO, CO_2), itp. —

Razem z kwasem węglowym uchodzi w kształcie gazu słabiej utleniony węgiel: *tlenek węglowy* (CO); ów gaz, który przy dogorywających węglach blado-niebieskawym płomieniem się pali. Złyto dla nas towarzysz palenia. Już kwas węglowy wielce jest w większych ilościach niezdrowym i zabijącym, lecz tlenek jeszcze zgubniej działa. Onto jest główną przyczyną tak częstych nieszczęść powodowanych przez zawczesne zatykanie pieca. —

Dalszem, ważnem połączeniem węgla jest *gaz olejny* ($C_4 H_4$). Składa on się (jakto wyrażona formułka chemiczna stwierdza) z węgla (C) i wodu (H), a zapalony służy nam jasnem swem światłem do oświecania ulic i gmachów, a do gotowania gorącem, które wywiązuje. Wyrabiają gaz ów głównie z węgli za pomocą suchej dystylacyi, uwalniając go w części stósownemi sposobami od towarzyszących mu tak powyższych, jak i innych gazów. W okolicach gdzie blisko węgla nie ma, a które zato w drzewo obfitują, wyrabiają (jak we Lwowie) gaz ów z drzewa, który w niczem owemu z węgla nie ustępuje, a cenniejsze poboczne produkta zostawia. Wielka stosunkowo ilość węgla w gazie tem zawartego powoduje jasność i białość płomienia jakim się pali. Przymioty te bowiem zawdzięcza płomień drobniutkim cząsteczkom węgla do białości rozżarzonego, które przed zupełnem spaleniem w zakresie jego się unoszą. —

A któż nie zna lub nie słyszał o błędnych ognikach? To także jest sprawą węgla.

Jestto *gaz błotny* ($C_2 H_4$), który do *węglowodów*, jak i powyższy należy. W wielkiej ilości wychodzi on z pokładów w kopalniach węgla, i staje się czasem przyczyną najokropniejszych podziemnych pożarów; lecz najczęściej straszy ludzi po bagniskach i moczarach, gdzie się przy gniciu roślin wywiązuje. Zeszedłszy się z powietrzem zapala się czasem bladym, niebieskawym płomieniem, i błądzi nad trzęsawiskami niby dusze konających roślin.

A nieśmiertelne na ziemi naszej są owe duszyczki, jak wieczną tu wszelka materya! Wszakże one spłonąwszy ulatują w niezmierzony ocean powietrzny, znowu jako pokarm rodzącej się dziatwy. I ciągłe, ogromne koło robią atomy owe w naturze wraz z wszelką materyą, przy dźwięku harmonijnym stref Pytagorejskich, — przy dźwięku rozkolebanych ciał niebieskich, krążących około środka wszelkiej doskonałości. —

I jeszcze jedna postać węgla.

Gdy w połowie zeszłego stulecia cesarz Franciszek I kazał kilka drobnych dyamentów na działanie ognia wystawić, zapewne w zamiarze stopienia ich w jeden większy, pokazało się, iż po 24 godzinach tygiel był — próżny!

Dziwny ten wypadek zwrócił uwagę uczonych, choć już w r. 1694 akademicy we Florencyi, robiąc próby z różnemi szlachetnemi kamieniami, o tej smutnej znikomości dyamentu się przekonali. Toż więc w r. 1786 zaczęli najsławniejsi chemicy ówcześni jak Lavoisier, Macquer, Rouelle i inni robić z dyamentem różne doświadczenia, i spostrzegli, iż ów sławny, nieprzezwyciężony *Adamas*, (jak go w starożytności nazywano) w otwartym tyglu gorąca ogniowego wytrzymać nie może i ohydnie ucieka! Zrobili jednakże i to doświadczenie, że w zamkniętem naczyniu, a zwłaszcza proszkiem węgla obsypany, największe ciepło znosi i nic się nie zmienia.

Cóż więc za przyczyna owej sromotnej ucieczki? Czy w drugim wypadku nie ucieka dlatego, że tygiel zamknięty i nie ma którędy?

Owóż sprawa z dyamentem ma się zupełnie tak samo jak ze zwykłym węglem. Pokazało się iż produktem spalenia dyamentu nic nie jest innego tylko kwas węglowy— iż tym sposobem dyament sam jest czystym węglem skrystalizowanym, o czem przekonać się można włożywszy go między bieguny silnej bateryi elektrycznej, gdzie się na masę węglowi podobną zamienia. Że więc w naczyniu otwartem, gdzie wolny jest przystęp powietrzu (a przeto i tlenowi), przy silnem gorącu warunki do spalenia jego są dane, gdy przeciwnie bez powietrza nic mu się nie stanie, zwłaszcza gdy jeszcze proszkiem węglowym osuty, który się łączy zamiast niego z tlenem pozostałego lub wkradającego się powietrza.

Geniuszom, ludziom bystrego ducha, dano jest czasem przeczuwać i przepowiadać rzeczy, które się później sprawdzają. Sławny fizyk angielski, Newton, o którym rodak jego poeta Pope napisał:

> Nature and all her works lay hid in night,
> God said, let Newton be, and all was light*) —

należał do rzędu tych ludzi. Już w r. 1675, jeszcze przed wszelkiemi próbami z dyamentem, wyrzekł on iż klejnot ów musi być palną materyą, — opierając się tylko na tej jego własności, że silnie łamie promienie światła.

Gorące niebo, wieczyste słońce obrały dla siebie dyamenty za ojczyznę, jak gdyby im trzeba było wiecznie na światło spoglądać. Toż i nie dano jest lądom Europy ukrywać w swem łonie te węgle krystaliczne, gdyż nader rzadko trafiają się one pod niebem przeciwnej ostateczności, w mroźnym północnym Uralu. Miejscem ich pobytu są głównie Indye wschodnie. Długi czas były one jedyną kopalnią dyamentu, aż na początku zeszłego stulecia odkryto go i w Brazylii, gdzie w takiej z początku znajdował się obfitości, iż czasem zdobycz roczna do 15 funtów dochodziła. A jakąż siłę ma owa błyskotka! — Rząd Brazylski udarowywał wolnością niewolnika, który znalazł dyament nad 17 karatów ważący.

Pomimo wszelkiego przepychu, głównemi towarzyszami dyamentu są piasek i żwir. Znajduje się więc w skałach napływowych i w ich szutrze gdyż niewytrwałość jego ogniowa nie dozwoliła mu pobytu śród skał wybucho-

---

*) Naturę i jej dzieła skrywała noc ciemna,
Bóg rzekł, niech Niuton wstanie, i stało się jasno.

wych. Jest on zwykle dziwnej przejrzystości, lecz często trafia się szarawy, perłowy, dymowy, żółty, zielony, aż do czarnego, któreto ostatnie zabarwienie prawdopodobnie zwykłemu węglowi zawdzięcza. Barwy dyamentu są w ogóle mdłe i słabe. Posiada on przymiot łamania światła w wysokim stopniu, a szlifowany w przeróżne barwy się mieni. A niezbyt dawno jak wynaleziono sposób szlifowania dyamentu, z przyczyny bardzo znacznej jego twardości.

W starożytności noszono go w kształtach, w jakie sam urósł; dopiero w r. 1456 zaczął go pierwszy Ludwik de Berquen z Brügge we Flandryi, własnym jego proszkiem szlifować. Wartość jego bardzo się tem podniosła, a razem z wielkością wzrasta ogromnie cena dyamentu. Ztąd też dyamenty wielkie należą do skarbów koronnych. Wiele ładnych i wielkich dyamentów posiadają potentaci Europejscy, lecz największem z owych świecideł szczyci się napół dziki Rajah z Borneo. Dyament ten waży 300 karatów, a podają wartość jego na dziesięć milionów. Jakaż cena wytworna za węgiel! A gdyby się spalił ów drogi klejnot, możeby nawet nie wystarczył na wyżywienie jednego źdźbła żyta! Możeby sprzągnięty z żelazem ledwo na jeden stalowy kord starczył; a ileżto kordów potrzeba śród ciągłych nieprawości ludzkich! —

Pomimo tego gra dyament rolę arystokraty pośród rodziny węglowej. Łyszczący, rozbryzgujący światło w stubarwne promienie, — twardy i niezłomny, a przecież bratający się z gliną i piaskiem, utrzymuje on się z godnością na swem stanowisku. —

Taką jest najświetniejsza postać węgla. Kreśląc ją sądziłem iż to ostatnia z tej wielkiej rodziny; lecz cieniując i wyrabiając ją pilnie, wpatrzyłem się w czarne połyskujące kreski ołówka, — i oto kreski owe przypomniały mi że jeszcze nie koniec węglowej rodzinie. Wszakto patrząc daleko nie zważałem na ołówek, który kreślił historyę węglową, wyliczał rodzinę swoją, a sam nie stanął śród niej. Winienem więc powiedzieć jeszcze o g r a f i c i e, trzeciej modyfikacyi węgla, bo z niego ołówek zrobiono.

Czarny, węglowi podobien jest grafit, połyskiem metalowym jednakże się szczyci. Najlepszy wykopują w Borrowdale w Cumberland (Anglia) i rzną go delikatnemi piłami w laseczki do ołówków zdatne, które jako wsławione oddawna ołówki angielskie po świecie się rozchodzą, rzadko jednak do nas zaglądając. Nas zadawalniają okruszki gumą, siarką lub innym jakim kitem zlepione i do ołówka uformowane. Gorsze gatunki grafitu kopią w Griesbach koło Passau w Bawarii, koło Bodenmeis itd. — najpospolitszego używają do smarowideł, do czernienia pieców, z gliną do robienia tygli chemicznych itp.

I oto wszystko o węglu.

Olbrzymie drzewa przedpotopowe składały się na głowę, na ojca tej rodziny; w postaci dyamentu, w owym skarbie ziemskim, jej splendor się mieści; a reszta czy wolna w powietrzu czy do ziemi przykuta, niby jednym łańcuchem wielkim nas otacza.

Narzędzie atoli do wyjawienia i ujmowania w kształty ludzkiego uczucia, ludzkiej myśli i wyobraźni podała natura poczęści w graficie.

W ołówku wielkie ma węgiel przeznaczenie.

Ołówkiem rzuca mistrz zarysy do dzieł sztuki, dzieciąt wyobraźni — zdejmuje obrazy z natury i więzi je ołówkiem — kreśli postacie bohaterów z szczęśliwszej przeszłości.

I z ołówkiem w ręku wylewa nieraz poeta uczucia i myśli swoje, przekazuje potomstwu to co w chwili natchnienia dusza i serce jego z lepszego gdzieś zaczerpnęły świata.

Godni oni by im wstały z grobów owe olbrzymy roślinne, owe palmy i paprocie, by im szemrały i przygrywały cichą wdzięczną pieśnią, co się leje kojącym strumieniem ku sercu, kędy święty, cichy ogień płonie. Gawędziłyby one wiecznie o przeszłości i budziłyby pieśni o niej, — a przeszłość święta każdemu!

I u stóp zielonych palm i paproci siedzieliby wieszcze naonczas — natchnieni graliby na srebrnych lutniach.

Odważyłby się wtedy jaki z śmiertelnych zdobić dyamentem skroń lub pierś wieszcza? W zadumie o przeszłości zdobiłby pieśń jego łzą przeczystą, — najdroższym dyamentem! —

J. St.

Rocznice historyczne.

17 i 18 kwietnia 1794 r. Powstanie Kilińskiego w Warszawie.

Do najpamiętniejszych dni Warszawy możemy śmiało policzyć ostatek wielkiego tygodnia 1794 roku. — Było to wkrótce po zawiązaniu konfederacyi krakowskiej, której coraz szczęśliwsze powodzenie nabawiało Igielstroma, ministra i naczelnego wodza wojsk rosyjskich w Polsce, niewymownej obawy. Wskutek tego przysposabiał on Warwie nader smutne i bolesne zakończenie wzniosłego hymnu *Resurrexit*. A niemało ośmielało go usposobienie ówczesnych najwyższych władz rządowych w Warszawie. Król Stanisław August przedstawiał smutny widok zdruzgotanego majestatu, a wielcy urzędnicy jak hetman w. kor. Ożarowski, biskup Kossakowski i inni, zaprzedani Igielstromowi, stali się owszem nikczemnemi narzędziami wyniosłego ministra.— Lecz żył w ówczas w Warszawie szwiec, Jan Kiliński, któren rzekł: „jedną duszę mam i tę poświęcam na obronę mojej ojczyzny.“ Hasłem tem podniósł jeden szwiec ducha uciśnionych współziomków, i sprawił, że już od półczwarta tygodnia zamyślano serdecznem echem odpowiedzieć wezwaniu starego grodu Wawelskiego. Niespodziewane odkrycie przyspieszyło wykonanie zamiaru.

W wielki wtorek właśnie targował szwiec nasz Jan w sklepie swoim na Dunaju znajomemu Moskalowi obuwie. Byłto oficer dyżurny Igielstroma, z którym nieraz już Kiliński napijał się gorzałki, mniemając że i taka znajomość kiedyś przydać się może. Przyjacielski Moskal zaczął mu doradzać, aby na czas pewien opuścił Warszawę. Widząc

Kiliński w tem nagleniu ważny jakiś powód, utraktował go likierem, nieraz doświadczanym środkiem do rozwiązania zagadek. Jakoż pomyślny skutek uwieńczył dyplomatyczny wybieg szewca polskiego, i oficer rosyjski obznajomił go dokładnie z tajemniczym planem swego wodza. — Widząc bowiem Igielstrom że zwycięztwa Kościuszki nazbyt żywe wrażenie na umysłach Warszawianów sprawują, chciał wszelkiemi środkami zapobiedz głośnym objawom ich niechęci. Podając spokój za najkorzystniejszy stan dla miasta, uwolnił je za pomocą hetmana Ożarowskiego od ciężaru utrzymywania własnego wojska. Musiały więc pułki polskie z małym wyjątkiem złożyć broń. W tym razie osądził Igielstrom za zbyteczne dla Polaków posiadanie arsenału, i postanowił go zająć. Za najsposobniejszą chwilę do wykonania tego zamiaru podał mu biskup Kossakowski czas nabożeństwa rezurekcyjnego. Wdzięcznie przyjął radę Igielstrom, a wymyśliwszy dla pobożnych niespodziankę, poukrywał naprzeciw drzwiom wchodowym kościołów armaty, jako najdobitniejsze tłumacze chęci i zabiegów rosyjskiego ministra. Aby zaś Warszawian uwolnić od chwili widoku niemiłej straty, postanowił zwrócić gdzie indziej ich uwagę, i zalecił Kozakom równocześnie wyprawić sutą iluminacyę po wszystkich rogach miasta. — O tej więc troskliwej zapobiegliwości dowiedział się pierwszy Kiliński od przyjaciela z bachusowych festynów, a przepomniawszy radę wydalenia się z Warszawy, pospieszył do równomyślących ziomków, by im odkryć grożące niebezpieczeństwo. Nie pozostało nic innego jak uprzedzić zamiar Igielstroma. A gdy dłuższa zwłoka stała się niemożliwą naznaczono 17 kwietnia, dzień czwartkowy wielkiego tygodnia do powstania. Ledwie stało czasu do uwiadomienia związkowych, do zrobienia koniecznego planu. Przewództwo nad nielicznem wojskiem polskiem objęli niżsi oficerowie, a Kilińskiemu padło zostać naczelnikiem ludu. Obawa licznych szpiegów nie pozwalała zwierzać się każdemu, a tak oczekiwała 4tej godziny rannej przeznaczonej do powstania garstka żołnierzy i kilkuset wcale do oręża niewprawnych mieszczan z niepokojem, na myśl losu w walce z 10000 rosyjskich bagnetów.

Lecz już po 3 godzinie z północy przebudził szpieg Igielstroma donosząc mu o spisku Kilińskiego. Jakoś równocześnie zajęła polska artylerya arsenał, i wytoczywszy armatę na dziedziniec, dano kilkakrotnie ognia. Głuchem echem odbiło się hasło powstania o mury śpiącego miasta. Na ten znak wybiegł Kiliński z towarzyszem swoim ks. Mejerem, i spotkał w progu domu własnego oficera wysłanego poń od Igielstroma. Bezbronny szwiec wyrwał z ręki księdza kordelas i uwolnił się nim od natrętnego. Wnet jednak nadbiega drugi wysłaniec ministra którego równie uspokoić musiał. A gdy wielkim głosem wzywając do broni spieszył na swe stanowisko, uczuł się wstrzymanym od żony przestraszonej. Naprożno tłumaczył jej że obowiązki względem ojczyzny nie dozwalają mu myśleć o sobie i o rodzinie, naprożno zalecał błagalną modlitwę o pomoc boską — zrozpaczona kobieta postanowiła nie opuścić go więcej. Wtedy narażony na przykrą walkę z najmilszą małżonką uciekł się do wybiegu; — niby przekonany odprowadził ją do sześciorga drobnych dziatek w domu, a upatrzywszy sposobną chwilę zamknął je w pokoju. Sam już uwolniony pospieszył z kilkuset ludźmi na Miodową ulicę do mieszkania Igielstroma, którego czemrychlej należało uwięzić. Lecz minister ostrzeżony otoczył się silną wartą, a przybyli mieszczanie zmusili go tylko do zamknięcia się w pałacu. Zostawiwszy załogę któraby nie przepuszczała ordynansów, zwrócił się Kiliński z resztą na Muranowskie, gdzie stał silny oddział Moskali z pięcioma armatami. — Dotychczas nie znalazł Igielstrom sposobności do przesłania wojsku rozkazów, a tak stały pojedyńcze oddziały pod bronią na swych posterunkach. Na znak powstania rozpoczęły się ataki w różnych miejscach. Najgłówniejszem było natarcie Kilińskiego na Muranowskiem. Przywitany gęstym ogniem rzucił się on nieustraszenie na zdumionego wroga, i odebrawszy mu armaty zmusił do odwrotu za miasto. Już cokolwiek uzbrojeni rozbiegli się mieszczanie po ulicach walcząc pojedyńczo za każdym krokiem; gdy równocześnie z natarciem na Muranowskiem zajęła gwardya królewska baterye przy prochowni za Marymonckiemi rogatkami, a ułani z artyleryą odparli napad Moskali na arsenał. Zawrócona ztamtąd kawalerya rosyjska spotyka Kilińskiego ciągnącego z 20 ludźmi dwie zdobyczne armaty. Ogień dany z ręcznej broni zostawił przy Kilińskim ledwie dziewięciu ludzi, i zmuszał go już do opuszczenia jednego działa, gdy pomoc polskiego wojska rozbiła atakujących i pomogła uprowadzić armaty w Kozią ulicę. Nowy silny oddział nieprzyjacielski stanął w drodze — lecz odważne natarcie Kilińskiego przyprawiło o życie kilkuset Moskali o stratę dwóch armat i do 500 sztuk broni. Z tamtąd udał się zwycięzca Nowym światem pod arsenał, i uzbroiwszy resztę swych towarzyszów, wpadł na pięciuset Moskali zamkniętych w pałacu na Lesznie. Strwożeni zapamiętałą odwagą mieszczan złożyli żołnierze broń, i poddali się w niewolę. Te zwycięzkie utarczki oddały serca nieczynnej dotychczas części ludu. Coraz więcej obywateli stawało w szeregi obrońców. Jak w starożytnej Kartaginie walczyli Polacy na każdej ulicy, bronili każdą stopę ziemi i w walce dopiero zdobywali sobie oręże. Drżała Warszawa od gromu kilkudziesiąt nieustannie grających armat. Każde miejsce, każda kryjówka zionęła śmiercią, rozsiewali ją zarówno czołgający się po ziemi lub ukryci pod dachami mieszczanie, jak plutony wojska i liczne baterye. Z niepohamowaną zaciekłością zrzucał lud ochydne jarzmo niewoli i poniżenia. W każdym domu w każdej ulicy ścigano nieprzyjaciół, a gdzie bagnety przemagały, gdzie garstka powstańców coraz topniała w niezwruszonym oporze, zjawiał się szwiec Kiliński z pomocą i z pewném zwycięztwem.

Najważniejszą pomoc w dniu dzisiejszym przyniósł pod św. Krzyżem. Tamto uszedł xiążę Gagaryn z 4000 żołnierzy. Jedynym oporem stanęło mu 600 walecznych z Pułku Działyńskich pod dowództwem Haumana. Groźne paszcze dział rosyjskich wymierzono na przybywających Nowym światem powstańców. Z niesłychanem poświęceniem postąpiła trzecia część pułku przeciw nieochybnej śmierci, podczas gdy dwie drugie przez Tamkę i saski dziedziniec zabieżały od tyłu nieprzyjacielowi. Srogi bój pochłaniał coraz nieliczne zastępy polskie i groził zupełnem zniszczeniem, gdy w tem przybywa saskim dziedzińcem Ki-

liński z mieszczanami. W gwałtownem natarciu padł Gagaryn, rozbici Moskale, część wzięta w niewolę, część poległa, reszta w szybkiej ucieczce uniosła życie za miasto. Ostatnim zwycięzkim strzałom pod św. Krzyżem zawtórowały bateryе u marymonckich rogatek powitaniem pruskiego jenerała Wołka i pułków rosyjskich ciągnących do Warszawy. Takie przywitanie doradziło posiłkom szybki odwrót, a po usunięciu tych ostatnich niebezpieczeństw, ujrzała się Warszawa około 3ciej godziny z południa oswobodzoną.

Pozostali Moskale obwarowali się jużto w pałacu Igielstroma, jużto naprzeciw u Kapucynów, część pod jenerałem Bauerem w gdańskiej bramie a ostatek w Krasińskiem. Znużeni 12 godzinną pracą Warszawiacy poprzestali na dzień dzisiejszy dalszej walki. Natomiast udano się chętnie za Kilińskim na ratusz, gwoli ustanowienia tymczasowego rządu. Powstanie to nacechowane rzadkiem umiarkowaniem, zostawiło dla Warszawy chlubne wspomnienie. Po ukończeniu gorącej i zawziętej walki, pomyśleli zwycięzcy najsamprzód o przywróceniu publicznego porządku — a wyrządzone dawniej od nieprzyjaciół krzywdy pomszczono wspaniałomyślnie ludzkiem postępowaniem z jeńcami. Rzadkim przykładem przy tak rozdraźnionych umysłach, obrano zgodnie Zakrzewskiego prezydentem a Mokronowskiego komendantem miasta — obrano dalej członków do rady zastępczej, w których liczbie nie pominiono i zacnego szewca Kilińskiego. Jemu także poruczono obowiązek czuwania nad osobą króla, a bohater dzisiejszy przepędził noc u progu monarchy oswobodzonego przezeń państwa.

Lecz już z świtem dnia męki pańskiej odnowiono atak na pozostałych w Warszawie Moskali. Pod dowództwem Kilińskiego uderzono na pałac Igielstroma. Wprawdzie ofiarowali mu zwycięzcy łagodne warunki do kapitulacyi, lecz gdy dumny minister nie chciał zaufać słowom narodu, ujrzał wkrótce zdobyte swe schronienie. Mimo gęstych strzałów armatnich i ręcznej broni pałacowej wdarli się do niego mieszczanie, a Igielstrom ledwie zdołał uratować się z kilkoma towarzyszami ucieczką. Uszedł przez Powązki do obozu pruskiego za miasto; a zdobyte w jego pałacu papiery i pieniądze złożyło pospólstwo do kasy publicznej. Po ostatecznej klęsce wodza poddała się natychmiast załoga u Kapucynów. O godzinie 10tej została jedynie brama gdańska w ręku nieprzyjaciół. Jenerał Bauer zwodząc lud udaną chęcią kapitulacyi, zwabił niebacznych pod mury, zkąd srogim ogniem poraził wielu. Oburzone takim podstępem pospólstwo wywarło zasłużoną zemtę na zdobytej załodze. Niewielu jeńców, między nimi i jenerała Bauera zdołano wyratować z mściwych rąk zwycięzców. Była to ostatnia chwila walki. Z 10000 sprawnego wojska rosyjskiego zostało w Warszawie do 4000 trupów a do 2000 jeńców. —

Tak rozległ się we dwie doby od pierwszych strzałów powstania okrzyk radośnego uniesienia ludu oswobodzonego przez ręce pracowitych rzemieślników. A w sobotę po ukończeniu *Resurrexit* brzmiał długo jeszcze z tysiąca ust hymn zwycięzki *Te Deum laudamus*.

B. K.

Kronika literacka.

— Według listu który otrzymaliśmy od K. Wł. Wojcickiego, skończył się druk litery B Encyklopedyi powszechnej, po świętach zacznie się drukować litera C.

— Bardzo rzadka książka, drukowana w roku 1504 zawierająca legendę o życiu świętej Jadwigi, z 59 drzeworytami przedstawiającemi uzbrojenia i stroje z XV i XVI wieku, jest do nabycia w Berlinie u J. A. Sturgarda antykwaryusza; tamże znajduje się dzieło prawie nieznane: „Ogród poetów z pochwałami Stefana Batorego“ po włosku: „Giardino del Poeti in lode del Ser. Re di Polonia, Venezia 1583“ z portretem króla Stefana.

— Drukarnia w Żytomierzu kończy druk pierwszego tomu „Opowiadań o Sobieskich K. Szajnochy“. Tom pierwszy ma tytuł „Mściciel“, a dzieli się na rozdziały następujące: I. Żółkiew, Olesko, Złoczów. II. Stanisław Żółkiewski. III. Jan Żółkiewski. IV. Stanisław Daniłowicz. V. Marek i Jan Sobiescy.

— Wydawnictwo dzieł katolickich, naukowych i rolniczych ogłosiło przedpłatę na wszystkie dzieła Piotra Skargi wyjść mające pod nadzorem kilku duchownych, a mianowicie pod dyrekcyą księdza Z. Goliana. Prenumerata wynosi 100 złp.

— Przegląd Poznański zawiera w zeszycie pierwszym na rok 1860 następujące „Objaśnienie. Niedawno pismo lwowskie „Przegląd powszechny“ zamieściło korespondencyę z Florencyi i t. d. Nas ten artykuł obchodzi dlatego, że podpisany jest głoskami T. L. Niejeden mógł mniemać, że litery owe nazwisko Teofila Lenartowicza kryją; otóż upoważnieni jesteśmy do oświadczenia, że poeta nasz nie jest autorem tej korespondencyi“.

— Poczuwamy się do obowiązku powtórzenia za innemi pismami polskiemi wiadomości o nowem wydaniu dzieł Aleksandra Grozy, który znany jest niezawodnie czytelnikom naszym z pięknych poetyckich utworów. Szczególnie umie Groza bardzo pięknie ujmować w formy artystyczne naiwne opowiadania ludowe. Dzieł jego wyjdzie tomów cztery. W pierwszym będzie Kalina (legenda), Wacław i Helena (fantazya), Kniaźnin (poemat uczuciowy), Korynna i trzy Palmy. W drugim będą powieści ludu, naszem zdaniem najcelniejsza część dzieł A. Grozy; w trzecim Marek Jakimowski, Mogiły, Starosta Kaniowski, poemata; w czwartym Hryć, dramat, i Świeciński, powieść.

— J. I. Kraszewski uskarza się w Gaz. Codz. na zobojętnienie publiczności polskiej dla wydawnictwa tak wielkiej wagi jak są „Wzory sztuki średniowiecznej A. Przezdzieckiego i B. Rastawieckiego“. Wydawcy obfitują właśnie w zapas przedmiotów dla następnej seryi i niewiedzą co wybierać, gdy publiczność nawet w tej dumie narodowej ostyga, by podtrzymać dzieło, które dowodzi Europie, że naród nasz pod względem sztuki nie należał do ostatnich.

Kronika sztuk pięknych.

— Znakomity rzeźbiarz Oskar Sosnowski ukończył posąg Tadeusza Czackiego i darował takowy kościołowi P. P. Wizytek w Warszawie.

— A. E. Odyńca „Barbarę Radziwiłłównę“ przedstawiono w teatrze Wileńskim; publiczność słuchała z wielkiem zajęciem przez sześć przeszło godzin tego dramatu. Autor zamierza przerobić go całkiem na nowo. Na tymże samym teatrze pojawiła się także nowa krotochwila ks. G. Puzyninej pod tyt. „Muzułmanin na Litwie“ gładkim wierszem napisana.

— Zaprenumerowali w redakcyi *„Kółka rodzinnego“* na dzieło Karola Szajnochy: **Jadwiga i Jagiełło:** Wielebny X. Ignacy Długoszewski i Wbny X. Kluczycki.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.